Cena 60 gr.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 19 listopada 1950 r. | Nr 46 (260)

KONGRES POKOJU
ODBĘDZIE SIĘ W WARSZAWIE

Kongres Pokoju jest wydarzeniem na skalę światową, o którym się mówi na wiele, wiele miesięcy przed terminem jego otwarcia. Światowy Ruch Obrońców Pokoju nie jest organizacją konspiracyjną. Jego cele są powszechnie znane, jego czołowi przywódcy uznani i szanowani na całym cywilizowanym świecie. Nikt więc z ludzi o zdrowych zmysłach nie może twierdzić, iż Ruch Obrońców Pokoju, określenie terminu i miejsce II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju — mogło stanowić akt zaskoczenia dla któregokolwiek rządu zachodnioeuropejskiego.

Termin, ale i szczegóły organizacyjne II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju znane były rządowi Wielkiej Brytanii od wielu miesięcy. Mimo tego — przez wiele miesięcy rząd Wielkiej Brytanii nie zdobył się na zakomunikowanie organizatorom tego światowego zjazdu, iż sprzeciwia się tym projektom. Przeciwnie nawet, przywódcy Labour Party wielokrotnie dawali do zrozumienia, iż uszanują wolnościowe tradycje angielskie i w żadnej mierze nie będą przeszkadzali w zwołaniu Kongresu. W rzeczywistości jednak, odczekawszy aż przygotowania do Kongresu dobiegną końca, aż delegacje z innych odległych krajów wyruszą w podróż — władze brytyjskie uruchomiły wielki i przemyślany aparat szykan, utrudnień, dyskryminacji wizowych, wreszcie otwarcie wrogich w stosunku do Kongresu Pokoju akcji.

Jaki był cel tego manewru? Prosty. Początkowo uśpić uwagę organizatorów, następnie narazić ich na maksymalne trudności organizacyjne i materialne, wreszcie — sprowadzić Kongres Pokoju do aktu pozbawionego wszelkiej rzeczywistej treści — skompromitować go, rozbić, zlikwidować. To wszystko przy akompaniamencie górnolotnej frazeologii o pełnym poszanowaniu wolności przekonań i zebrań publicznych, szanowanej przez rządy Labour Party.

Postawmy sprawę jasno — czy zjazd w Sheffield około dwóch tysięcy delegatów na II Światowy Kongres Obrońców Pokoju — mógł stanowić w jakiejkolwiek mierze — zagrożenie, no już nie mówmy bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii, ale — bezpieczeństwa rządów labourzystowskich? Oczywiście, że nie. Jeśli wśród delegatów znajdują się, rzecz prosta, różni czołowi działacze obozu komunistycznego, znajdują się wśród nich nie mniej liczni przedstawiciele zgoła innych orientacji. Są tam przedstawiciele różnych środowisk wyznaniowych, są zwolennicy polityki neutralności zachodnioeuropejskiej, reprezentanci postawy „III siły", są również, zwłaszcza w delegacji ze Stanów Zjednoczonych — obrońcy pojęć kapitalistycznych. Łączy tych wszystkich ludzi jedno zasadnicze przeświadczenie — konieczność zapewnienia światu trwałego pokoju. Nie było więc obawy by obrady Kongresu mogły się stać ośrodkiem koncentracji wewnętrznej opozycji przeciw rządowi, który rządzi zapewnioną bądź co bądź większością 5 głosów.

Nie było również obawy, by działacze ci mogli na marginesie Kongresu podjąć na terenie Wielkiej Brytanii jakąś szerszą akcję propagandowo-polityczną. Tydzień obrad zapełniony był obszernym programem prac, a umieszczenie Kongresu z dala od Londynu — zapewniało władzom angielskim pełną możność nawet odcięcia obradujących od reszty kraju.

Kongres Pokoju w Sheffield stwarzał tylko jedną groźbę — uświadamiał społeczeństwu angielskiemu, że wojenna polityka Stanów Zjednoczonych — nie jest jedyną perspektywą chwili obecnej. Kongres Pokoju zadawał kłam linii obowiązującej propagandę, iż nie ma przed społeczeństwem zachodnioeuropejskim innej drogi, jak drogi, która wiedzie poprzez interwencję w Korei, program intensywnych zbrojeń ku wskrzeszeniu hitleryzmu w Niemczech Zachodnich.

Dlatego Kongres „zagroził bezpieczeństwu", dlatego trzeba było za cenę przekreślenia tradycji, z których tak dumny był naród brytyjski, — zakneblować usta Światowemu Ruchowi Obrońców Pokoju.

Jeśli zadanie przekreślenia tradycji wolnościowych i udokumentowanie pełnej zależności rządu Wielkiej Brytanii od dyspozycji amerykańskich zostało niewątpliwie osiągnięte, — to próba zakneblowania ust działaczom Ruchu Obrońców Pokoju — spaliła na panewce.

Polska wzięła na siebie zadanie przygotowania Kongresu. II Światowy Kongres Obrońców Pokoju odbędzie się w Warszawie. W Warszawie odbędą się obrady, w których zabierać będą głos ludzie, głoszący różne przekonania, nieraz odległe od tych, jakie reprezentuje dziś Rząd Polski Ludowej. Warszawa jednak nie boi się tych różnic, tak jak nie obawia się wpuszczenia w granice naszego kraju delegatów różnych krajów i różnych poglądów.

Członkowie Światowego Ruchu Obrońców Pokoju znajdą w Polsce tylko dowody niekłamanej woli pokoju narodu polskiego, stwierdzą wielki nasz trud odbudowy zniszczeń wojennych i przebudowy naszego ustroju dla zapewnienia bezpiecznej i lepszej przyszłości naszej młodzieży, — zobaczą nasze radości i nasze trudności.

Nie znajdą nigdzie ani nieufności, ani wrogości.

Bo Polska nie boi się perspektywy światowego pokoju.

Bo Polska, tak jak ta cała część ludzkości, która ciężką pracą buduje przyszłość, — zdecydowana jest wszystkimi swoimi siłami pokrzyżować plany tych sił, które dziś prowadzą politykę wojny i agresji.

Wierzymy, że rozpoczynający się w naszej Stolicy II Światowy Kongres Pokoju pokrzyżuje plany tych, którzy chcą narzucić światu trzecią

W. K.

Tadeusz KORDYASZ

WARTOŚĆ TOMIZMU

1. WIARA I FILOZOFIA

Wydaje się, że ludziom wierzącym nie potrzeba filozofii. Boskie Objawienie, które jest dla nich najwyższym kryterium prawdy, poucza przecież wystarczająco o pierwszych przyczynach wszechrzeczy i ostatecznym celu życia. Jezus jest Prawdą i Drogą. Po co jeszcze mędrkować i gubić się w zawiłych subtelnościach ludzkich systemów poznania, których jest tyle i każdy jest inny?

Ale wiara nie może być ślepa. Nie należy własnym rozumem uznawać oczywistości prawdy, przeciw której buntuje się rozum. Chociaż taka postawa w pewnych warunkach staje się tytułem do zasługi i jest zwycięskim egzaminem przywarcia do idei — nie może być uznana za postawę normalną. Łaska — to harmonijna nadbudowa natury. Ona jej nie przekreśla, nie niszczy, lecz podnosi wyżej. Łaska wiary, która dotyka nie tylko wolę, ale i władzę poznawczą, nie rodzi w niej zamętu, nie rujnuje jej przyrodzonych działań. Wiara bowiem jest aktem umysłu poruszonego przez wolę do uznania za pewnik objawionej prawdy. Jest aktem umysłu, gdyż przedmiotem jej jest prawda, a osąd prawdy należy do umysłu. Wiara, która by była tylko zrywem woli, rzutem na oślep w ciemną przepaść, rozpaczliwym zdeptaniem praw, rządzących rozumem — byłaby wiarą chorą, bohaterskim wyczynem kaleki.

Nie „credo, quia absurdum"*) (wierzę, bo absurdalne) — ale „credo, ut intelligam"**) (wierzę, abym pojął) winno być hasłem zdrowego człowieka. Dlatego Św. Augustyn powiedział: „Bardzo kochaj rozum. Kto dobrze zrozumiał to, w co wierzył, wyżej bez wątpienia stoi od tego, kto dopiero pragnie zrozumieć. Jeśli zaś tego nie pragnie, a prawdy dostępne dla rozumu uznaje wyłącznie za przedmiot wiary — nie wie, jakiej sprawie służy wiara."

Łaska wiary jest darem darmo udzielanym. Ale nie należy jej sobie wyobrażać, jako huśtawkę, która porywa pod niebo niemowlę, spowite w pieluszki, albo jak czarodziejską różdżkę, która pastucha zamienia w królewicza.

Łaska wiary jest ręką Boga, wyciągniętą do człowieka. Ta ręka jest pewna. Ta ręka jest wszechmocna. Nie ujdziemy ani kroku, nie wspierając się na tej ręce. Ale ręka ta prowadzi nas na strome, górskie ścieżki, gdzie trzeba dobrze wytężać krok, aby się od niej nie oderwać. Mistrzowie życia wewnętrznego ujmują to w tezie, że z łaską należy współpracować. Wynika to z mądrego planu Bożego, który zawsze podkreśla godność człowieka.

Łaska często uderza, jak piorun. Trafia ona czasem w glebę uprawioną, a czasem w kamieniste, zachwaszczone ogrody. Umysł ludzki, który wiara wzywa do działania, olśniewając go błyskiem prawdy, tak przeraźliwie jasnym, że aż pogrąża go w mroku, — wymaga ćwiczenia. aby mógł patrzeć w to ostre światło na dłuższą metę. Nie może oślepnąć, gdyż wtedy przestanie działać. Trzymając zwierciadło, w którym rysuje się Boża zagadka (Św. Paweł), musi trzymać je mocno. Musi tak długo czyścić je i przecierać, aby obraz tej zagadki nie ulegał zniekształceniu.

Zwierciadło wprawdzie ukazuje niezwykłe i trudne do pojęcia sprawy, ale nie może odbijać ich krzywo. Człowiek wierzący, zależnie od mniej, lub więcej rozwiniętego umysłu, może uznawać prawdy wiary za mniej, lub więcej ciężkie do zrozumienia, ale nie może uznać ich za nielogiczne, za niemożliwe do przyjęcia.

Wychodząc ze słusznego założenia, że łaska harmonizuje z naturą, że jej boskie ziarno rośnie w ziemskiej glebie, jako w swojej własnej, człowiek wierzący musi tę glebę uprawiać, oczyścić ją z chwastów i kamieni, aby umożliwić ziarnu wiary rozwój. Ta praca należy do niego, nie wolno mu od niej się wymigać.

Źródło natury i nadnatury jest jedno. Łaska puka dostatecznie głośno do serca każdego człowieka, bo Bóg jest Dobrym Ojcem wszystkich ludzi. Mimo jednak swej nadprzyrodzonej mocy, nie w każdym sercu Łaska zdoła uwić gniazdo. Błędem było by twierdzenie, że tą przeszkodą dla niej nieprzekraczalną jest jedynie zła wola. Skuteczność jej działania paraliżuje również zły umysł. Fałszywy obraz rzeczywistości, niezdolność rozumu do prawidłowych funkcji skutecznie nieraz torpeduje to działanie. Jakże często i ludzie wierzący przeżywają w duszy z tego powodu bolesne rozdarcie, które prowadzi do tragicznego finału. Flirt z łaską kończy się fiaskiem. Człowiekowi współczesnemu, którego, dzięki powszechnej oświacie, cechuje spory zasób wiadomości, zdobytych z różnych nauk, ciężko się zdobyć na prostą wiarę „bretońskiego wieśniaka". wierzącego mocno dlatego, że jego umysł nie znajduje w sobie żadnego „ale" i dlatego również, że posiada pewną przyrodzoną czystość umysłu, zachowaną przez obcowanie z naturą.

Aby obraz świata niewidzialnego nie tylko nie kłócił się w naszych oczach z obrazem świata widzialnego, ale możliwie dokładnie nań zachodził — musimy raz rozbudzone władze poznawcze doprowadzić do sprawności.

Jedynym ćwiczeniem do osiągnięcia tej sprawności jest właśnie studium filozofii. Jest ona bowiem, jak wiadomo, naukowym poznawaniem — za pomocą przyrodzonego światła rozumu — istoty wszystkich rzeczy i najgłębszych ich przyczyn.

2. NAUKA FILOZOFII A GŁOS KOŚCIOŁA

Jezus Chrystus nie był filozofem. Misja Jego była wyższa ponad wszystkie filozofie. Nie założył żadnej szkoły. Nie uczył żadnego systemu myślenia, jak Sokrates, Budda, czy Lao-Tse. Nie dowodził istnienia Boga — On objawiał Go. Przyszedł na świat dla ważniejszej sprawy: aby zbawić ludzkość.

Przez trzy lata mówił o prawdach wiary i moralności, — jednak nie jako wykładowca, ale jako prawodawca. Dlatego w zdumienie wprawiał wszytkich: „Albowiem uczył ich jako władzę mający, a nie jako doktorowie i faryzeusze."

Nauka Chrystusa — potężny snop światła rzucony w mroki, które spowijały ludzkość „aby zaświecić tym, którzy w ciemności i w cieniu śmierci siedzą", — wymagała jednak rozpracowania. Znajdowało się w niej wszystko, co najistotniejsze, ale człowiekowi potrzeba do życia i wielu mniej istotnych rzeczy. Prawdy objawione należało uporządkować, wyciągnąć z nich konieczne wnioski i ochronić je przed błędnym tłumaczeniem. To zadanie zostawione zostało Kościołowi, który jest dalszym ciągiem Chrystusa, Jego Ciałem mistycznym. Stąd zrodziła się Teologia — wiedza o sprawach boskich, której pierwszym przedstawicielem w Kościele jest już ostatni apostoł, Paweł z Tarsu. Już w czasach apos-

(ciąg dalszy na str. 4)

* Potępiona przez Kościół formuła antyracjonalizmu, pochodząca od Tertuliana.

** Słynne hasło filozofii scholastycznej

EKONOMIA NA CODZIEŃ

REFORMA SYSTEMU PIENIĘŻNEGO

W celu budzenia w społeczeństwie zainteresowań zagadnieniami gospodarczymi i służenia w ten sposób wielkim planom przebudowy gospodarczej Polski, będziemy umieszczać co drugi numer felietony gospodarcze, omawiające aktualne zagadnienia z tej dziedziny.

Uchwała Rady Ministrów z dnia 28 października 1950 r. o zmianie systemu pieniężnego jest aktem gospodarczym, który zakańczając pięcioletni okres powojennej gospodarki, jest wyrazem osiągnięcia przez życie gospodarcze naszego kraju wysokiego poziomu rozwoju.

Pełne zatrudnienie, wzrost produkcji, wynoszący w 1950 r. w stosunku do 1946 r. w przemyśle 265%, a w rolnictwie 203%, wzrost handlu zagranicznego, który ilustruje wzrost przeciętnej miesięcznej w 1949 r. w stosunku do 1947 r. w imporcie o 92%, w eksporcie o 64% (wg tonażu), wzrost obrotu w handlu detalicznym wynoszący 265% w 1950 r. w stosunku do 1946 r. — oto najważniejsze wskaźniki rozwoju gospodarczego kraju, które tłumaczą olbrzymie osiągnięcia na odcinku odbudowy gospodarczej oraz na odcinku zbiorowego spożycia (oświata, lecznictwo itp) i stopy życiowej mas pracujących.

Powyższe rezultaty musiały oczywiście znaleźć swój wyraz w gospodarce finansowej, będącej przecież odbiciem procesów materialnych. Równowaga budżetu państwa, która utrzymuje się od 1947 r. mimo poważnego wzrostu z roku na rok wydatków inwestycyjnych i konsumpcyjnych, jest konkretnym dowodem skoordynowania produkcji z silnie rosnącymi potrzebami naszego socjalistycznego państwa. Dochody bowiem budżetu są oparte o rentowność aparatu produkcyjnego, którą osiąga się przede wszystkim dzięki wzrostowi produkcji i wzrostowi wydajności pracy. W konsekwencjach tych wszystkich zjawisk, wystąpił wyraźnie proces stabilizowania się wartości pieniądza, który właśnie pozwolił na dokonanie reformy systemu pieniężnego, polegającej na zmianie pieniądza niskowartościowego na wysokowartościowy oraz na umocnieniu jego nowej wartości.

Dziś, gdy tak łatwo stwierdzamy rezultat pięcioletniej gospodarki finansowej, trzeba uświadomić sobie, jak poważne trudności zostały przełamane i jak wielki został poniesiony wysiłek, aby rezultaty osiągnąć.

Start naszej powojennej gospodarki finansowej odbywał się jeszcze przy huku dział, kiedy zimą w 1944 r. na terenach położonych na wschód od Wisły i Wisłoki (ówczesna linia frontu) rozpoczęto wymianę pieniędzy okupacyjnych na nową polską walutę. System pieniędzy pozostawiony przez okupanta był tak zdezorganizowany, iż trzeba było stworzyć nowy system od samych podstaw. Zadanie zasilania życia gospodarczego w nowe środki pieniężne nie było łatwe skoro aparat produkcyjny był poważnie zniszczony, zapasy szybko topniały, a nacisk potrzeb zarówno gospodarczych, związanych z uruchamianiem produkcji jak i konsumpcyjnych był bardzo silny. W miarę przesuwania się linii frontu, ten nacisk oczywiście wzrastał. W tych warunkach uniknięcie inflacji przy dostarczeniu życiu gospodarczemu środków, które pozwoliły na uruchomienie produkcji stanowiło sztukę nie byle jaką, dla której przykłady trudo było by znaleźć. Równolegle z uregulowaniem ilości pieniędzy, wysuwało się najbardziej centralne i najtrudniejsze zadanie gospodarki finansowej, zadanie stworzenia właściwego układu płac i cen. Bez rozwiązania tego problemu nie było by rzeczą możliwą opanować obieg pieniędzy, a za tym uniknąć takiej katastrofy, jaką jest inflacja. Regulacja płac i cen odbywała się stopniowo od systemu kartkowego i zaopatrzenia pracowników w naturze, do pełnej wolności konsumpcji i pełnego ekwiwalentu pieniężnego od okresu sztucznego, czasem przypadkowego wyznaczenia cen i płac do okresu, w którym regulacja tych podstawowych wielkości jest oparta o świadome zamierzenia odpowiadające postulatom racjonalnej gospodarki i postulatom społecznym wyrażanym w narodowych planach gospodarczych.

Dookoła tych zadań wyłaniał się przed gospodarką finansową jeszcze cały szereg innych zadań, które warunkowały pozytywne rezultaty wyżej wymienionych zadań podstawowych. Tutaj trzeba wspomnieć o wykonaniu takich zadań, jak np. reforma systemu podatkowego, reforma systemu bankowego, ubezpieczeń i wreszcie w tym roku przeprowadzona reforma sytsemu budżetowego.

Przypomnienie dziś w sposób najogólniejszy tego dorobku gospodarki finansowej jest konieczne dla zrozumienia, że reforma systemu pieniężnego z 28.X.b.r. to nie jakiś „Deus ex machina" lecz końcowa faza długiego i pełnego trudności procesu.

Wartość tego dorobku występuje jeszcze wyraźniej, kiedy cofniemy się pamięcią do okresu po pierwszej wojnie światowej, kiedy gospodarka polska w latach 1918 do 1924 pogrążała się w coraz większej inflacji dochodząc w końcu do całkowitego chaosu. Dla ilustracji przypomnijmy, że w dniu 27 kwietnia 1924 r. obieg pieniężny wynosił niesamowitą kwotę 570.698.000.000.000.000 marek. W tym samym dniu wskaźnik cen hurtowych wnosił w stosunku do 1914 r. — 2.423.218, a wskaźnik kosztów utrzymania w Warszawie — 2.895.848. Równocześnie produkcja w 1923 r w stosunku do 1913 r. wynosiła: węgla kamiennego — 88%, surowca żelaza — 49%, cukru — 46%, spirytusu — 40%. Toteż nic dziwnego, że prof. Taylor, kończąc swą pracę o inflacji polskiej, stwierdził, że okres ten zostawił jako „spadek" zubożenie i demoralizację.

Porównanie owego pięciolecia z ostatnim pięcioleciem pozwala też na ustalenie perspektyw nowego pieniądza. Reforma walutowa w 1924 r. szybko załamała się, nie tyle z powodu błędów natury technicznej, ile na skutek braku realnych podstaw gospodarczych, wynikających z rozwoju produkcji, obrotów handlowych, stanu zatrudnienia itp. Natomiast reforma z 28 października b.r. oparta jest jak to podkreśliliśmy na mocnej bazie dynamicznego rozwoju gospodarki narodowej. Wprawdzie ustalenie parytetu złota ma znaczenie gospodarcze, w szczególności ze względu na rozwój stosunków z zagranicą, jednakże istotne zabezpieczenie wartości pieniądza tkwi przede wszystkim w sprawnie funkcjonującym aparacie produkcyjnym i w woli pracy społeczeństwa. Wszystkie inne zabezpieczenia będą albo złudne, albo krótkotrwałe. Dlatego też ściśle związane z reformą systemu pieniężnego są wydarzenia świadczące o pomyślnym wykonywaniu planu produkcyjnego na rok 1950 oraz zobowiązania podejmowane tak masowo przez klasę robotniczą w związku z rozmaitymi ważnymi wydarzeniami politycznymi. Fakt, że już na koniec sierpnia b.r. w szeregu dziedzin wykonanie osiągnęło ponad $^{3}/_{4}$ planu rocznego oraz fakt masowego wykonywania zobowiązań podjętych w związku z pierwszym polskim kongresem pokoju i rocznicą rewolucji październikowej świadczy, że reforma pieniężna została dokonana we właściwych warunkach.

Równocześnie jak z jednej strony reforma pieniężna jest uwieńczeniem dzieła 5 lat, a w szczególności realizacji planu 3-letniego, tak z drugiej stwarza warunki do realizacji planu 6-letniego. Słusznie bowiem podkreśla się, że nowy wysokowartościowy i ustabilizowany pieniądz dopomoże do rozwiązania szeregu podstawowych dla planu 6- letniego zagadnień.

Obniżenie kosztów produkcji daje tylko wówczas realne efekty, jeśli pieniądz, który wyraża te koszty nie traci na wartości. W innym przypadku obniżanie kosztów ma tylko charakter nominalny. Analogicznie przed stawia się sytuacja mobilizowania rezerw, wzrostu wydajności pracy i w ogólności rozwoju oszczędności w gospodarce narodowej. Ponadto tylko przy stałym mierniku wartości istnieje możliwość planowania gospodarczego, co jak wiadomo stanowi podstawowy czynnik naszego systemu gospodarczego. W końcu zarówno ze względu na ogólne dobro, jak i z uwagi na indywidualne interesy, poważne znaczenie mają oszczędności pieniężne ludności, które mogą rozwijać się tylko przy niedeprecjonującej się walucie.

Tak więc widzimy jak produkt planu 3-letniego — nowy pieniądz służyć będzie realizacji planu 6-letniego. Naśladując wielu ekonomistów szukających analogii między organizmem człowieka a zjawiskami ekonomicznymi, można by stwierdzić, że pieniądz w organizmie gospodarczym spełnia tę samą rolę co krew w organizmie ludzkim. W wyniku realizacji planu 3-letniego nasz organizm gospodarczy został zasilony w zdrowy strumień pieniężny, który pozwala temu organizmowi na dokonywanie wysiłków znacznie większych aniżeli dotychczas.

Każde osiągnięcie jednak ma zawsze pewne swoje koszty. Taka transfuzja, kontynuując powyższe porównanie, jaką była reforma pieniężna, nie mogła odbyć się bez pewnego wstrząsu całego organizmu, bez pewnych strat. Wśród tych strat na uwagę zasługują przede wszystkim te. które ponieśli ludzie pracy. Wysiłek, aby te straty zmniejszyć był bardzo znaczny. Przeprowadzenie wymiany z końcem miesiąca, kiedy ludzie żyjący z zarobków już przeważnie wydali swoje pieniądze, wypłacanie w szeregu przypadków dodatków wyrównawczych, zabezpieczenie rencistów, emerytów i stypendystów, zabezpieczenie wkładów oszczędnościowych, złożonych w instytucjach bankowych i wreszcie udzielenie mało i średnio-rolnym chłopom szerokich przywilejów — to wszystko świadczy jak wielką troskę wykazano, aby reforma pieniężna jak najmniej dotknęła świat pracy. Jeśli jednak mimo wszystkiego, ostrze reformy ugodziło, w niektórych wypadkach może i dotkliwie masy pracujące, to trzeba uświadomić sobie dwie niewątpliwe korzyści, które świat pracy osiągnął względnie osiągnie. Pierwsza to poważne ograniczenie konkurentów ludzi pracy jakimi byli przy zakupie towarów kapitaliści i spekulanci, druga to umożliwienie, dzięki wysokowartościowej i ustabilizowanej walucie podwyższenia realnego poziomu płac.

Biorąc jeszcze pod uwagę wzmocnienie złotego w stosunku do zagranicy na drodze zrównania go z rublem, ustalenie parytetu złota i mobilizacji krajowych zapasów złota i walut mamy pełny obraz tej niezmiernie ważnej reformy gospodarczej, jaką stanowi reforma systemu pieniężnego z 28.X.b.r. Reforma ta — to rezultat śmiałej, dalekowzrocznej i planowej polityki gospodarczej.

ŁuB.

NOTATNIK POLITYCZNY

Większość, która jest mniejszością

Często zadajemy dzieciom pytanie, co jest cięższe — kilogram puchu czy kilogram żelaza? Inteligentniejsze z nich odpowiadają wówczas, że ciężar jest jednakowy. Takie pytania i testy psychologiczne warto by w dzisiejszych czasach zadawać wielu politykom świata zachodniego. Szybko można by wówczas zaobserwować, że ich poziom nie odbiega daleko od poziomu przeciętnego inteligentnego dziecka.

Może popełniamy pomyłkę przypisując taką nieufność intelektualną tym politykom, ale jeśli nie mamy racji, to istnieje tylko druga ewentualność, a mianowicie konieczność przypisania im daleko idącej obłudy politycznej.

Na terenie ONZ delegacja amerykańska domaga się od dłuższego czasu wielkim głosem zniesienia prawa veta. Delegaci ci domagają się wprowadzenia do obrad Rady Bezpieczeństwa — „demokratycznego" systemu przegłosowywania większością głosów. Zastanówmy się jednak, co reprezentują sobą głosy poszczególnych delegatów do Rady Bezpieczeństwa: zamieszczamy poniżej tabelkę ilustrującą liczebność narodów, których przedstawiciele wchodza w skład Rady Bezpieczeństwa ONZ:

		mieszkańców
Egipt	—	20.000.000
Ekwador	—	20.000.000
Francja	—	41.000.000
Wielka Brytania	—	50.000.000
Indie	—	337.000.000
Jugosławia	—	16.000.000
Kuba	—	3.000.000
Norwegia	—	3.000.000
ZSRR	—	212.000.000
USA	—	150.000.000

W Radzie Bezpieczeństwa zasiada także przedstawiciel Chin, który reprezentuje naprawdę jedynie marszałka Czang-Kai-Szeka.

Wiemy dobrze, ile się dziś mówi na zachodzie o wolności i demokracji. Powyżej zestawione cyfry będą nam pomocne w rozszyfrowaniu istotnie zawiłych reguł tej demokracji, wyjaśnią one nam także słuszność tak sceptycznej oceny polityków zachodnich, a zwłaszcza amerykańskich, zamieszczonej na początku naszego dzisiejszego notatnika.

Rada Bezpieczeństwa odrzuciła wniosek o dopuszczenie reprezentanta Chin Ludowych do uczestnictwa w ONZ **większością** 190 milionów głosów przeciw **mniejszości** 618 milionów. Tak samo można by biorąc pod uwagę reprezentatywność poszczególnych członków organów ONZ ilustrować cyframi inne niemniej ważkie sprawy będące przedmiotem obrad ONZ. Np. za pokojowym uregulowaniem sprawy Korei głosowała **mniejszość** 569 milionów przeciw **większości** 250 milionów.

Nie jest przypadkiem, że zajmujemy się dzisiaj znowu problemem ONZ. Organizacja ta, w której miliony ludzi na całym świecie widziały i chcą widzieć instrument pokojowego regulowania sporów i zatargów międzynarodowych, stała się dziś nie tylko przedmiotem agresji Stanów Zjednoczonych, ale także narzędziem agresywnej polityki USA. Wszystko to jest wynikiem faktu, że Stany Zjednoczone podporządkowawszy sobie najpierw gospodarczo a potem politycznie szereg małych państw, operują teraz dowolnie głosami ich reprezentantów na forum ONZ. Jedyną istniejącą jeszcze przeszkodą w dyktacie USA jest prawo veta wielkich mocarstw gwarantowane Kartą ONZ. To też o naruszenie Karty w tym przedmiocie toczą politycy amerykańscy zaciekły bój.

W tej chwili jesteśmy świadkami próby nowego dyktatu Stanów Zjednoczonych na terenie ONZ. A mianowicie grupa delegacji, z delegacją Stanów Zjednoczonych na czele wniosła na Ogólne Zgromadzenie propozycje w sprawie przedłużenia pełnomocnictw obecnego sekretarza generalnego p. Trygve Lie. Propozycja ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności z Kartą, która w ogóle nie przewiduje przedłużenia kadencji. Znamiennym wydarzeniem była tu odbyta w dniu 30 października w Lake Success konferencja prasowa u szefa delegacji radzieckiej min. Wyszyńskiego, na której złożył on oświadczenie w imieniu swojego rządu, że jeżeli Trygve Lie zostanie narzucony jako sekretarz generalny ONZ, rząd radziecki nie będzie się z nim liczył.

Przy okazji omawiania politycznej problematyki ONZ i reprezentatywności delegacji wychodzących w skład najważniejszego organu tej ograniazcji: Rady Bezpieczeństwa, warto dorzucić jeszcze kilka uwag na tematy ogólne związane z pojęciami panującymi w państwach zachodnich. Przytoczona tabelka bowiem ilustruje nie tylko agresywną i imperialistyczną politykę USA na terenie ONZ, ale stanowi także jaskrawy dowód, co znaczą demokratyczne hasła świata zachodniego.

Cyfry mówiące o większości i mniejszości, którą przyjmuje się lub odrzuca poszczególne wnioski na Radzie Bezpieczeństwa demaskują prawdziwy charakter tamtych pojęć. Świat kapitalistyczny nie potrafił przeciwstawić żadnych pozytywnych sformułowań ideowych rozwijającym się ideom socjalistycznym. Schował się po prostu za parawan „obrony wolności i demokracji", cele swoje może precyzować jedynie w formie negatywnej, mówi czego nie chce. W tym tkwi jego słabość ideologiczna. Ale nie tylko w tym, gdyż cynizm polityczny przedstawicieli świata kapitalistycznego dowodzi, że hasła używane przez nich jako najwyższe wartości ideowe w praktyce są deptane bez skrupułów. Świadczą o tym cyfry i są dowody. I nikt rozsądny nie przypuści, że Amerykanie stracili umiejętność rozróżniania tych cyfr, słuszna jest tylko druga ewentualność, że są cyniczni. A o tym w Polsce należy pisać, bo to nas także, jak uczy historia, interesuje.

W sześćdziesiątą rocznicę śmierci KARDYNAŁA NEWMANA



J.H. Newman

W roku bieżącym upływa sześćdziesiąt lat od śmierci Johna Henryka Newmana — człowieka, którego nazwisko jest bardziej znane niż dzieła. Spotkać je można w podręcznikach historii i literatury, w dziejach Kościoła i myśli europejskiej.

John Henry Newman (1801—1890) był synem bankiera, który zubożał w 1815 r. Było to prawdopodobnie zbawienne dla młodego chłopca — pamiętajmy słowa Chrystusa o trudnościach towarzyszących wejściu bogaczy do Królestwa Niebieskiego.

Skończywszy studia w Oxfordzie, Newman został duchownym anglikańskim i jednym z przywódców Ruchu Oxfordzkiego. Uczestnicy tego ruchu dążyli do wyzwolenia kościoła anglikańskiego spod władzy liberalizującego państwa i do powrotu do pierwotnej czystości doktryny chrześcijańskiej, którą wypaczył, ich zdaniem, przebieg Reformacji w Anglii. Tą drogą Newman, jak wielu innych, doszedł w 1845 do katolicyzmu.

Życie, które było niezrozumiane

Był to człowiek niezwykły. Biografowie nie wahają się nazywać go geniuszem. Jeżeli geniusz polega na wielkości myśli, niezwykłej wrażliwości, sile uczuć i twórczej wyobraźni, zharmonizowanych z wartością moralną, to Newman geniuszem był. Każdy jego czyn i każda myśl były aktem całej osobowości.

Ale to właśnie narażało go na nieprzychylną krytykę. Integrystów, jak Manning, niepokoił oryginalnością myśli; woluntarystów, jak Kingsley, — subtelnością intelektu; u intelektualistów, jak Strachey, budził politowanie z powodu bujnej wyobraźni i uczuć. Z tych i innych względów życie jego było trudne, pełne entuzjastycznych zrywów do wielkiej działalności apostolskiej, tłumionych przez rutynę, ciasnotę a nawet intrygę ze strony współwyznawców-katolików. Czego się tknął, upadało przez zaniedbanie lub przeszkody ze strony wyższego duchowieństwa angielskiego i irlandzkiego, ludzi skądinąd zasłużonych, a nawet wybitnych, którzy bali się jego śmiałości w sprawach wiary, jego swobody w obcowaniu z innowiercami.

Dopiero Leon XIII w 1879 r. ocenił jego zasługi dla Kościoła, nadając mu tytuł kardynała. Newman był wtedy już starcem. Gdy zmarł, czasy były inne. Kardynał Manning, który najwięcej może przeszkodzał Newmanowi, wygłosił jedną z największych i najsłuszniejszych pochwał swego przyjaciela i przeciwnika.

Pisma, o których się zapomina

Takie było jego życie. Przypatrzmy się jego pismom. Były to kazania, rozprawy teologiczne, pisma o szkolnictwie akademickim i literaturze, wiersze, powieści i sławna „Apologia pro vita sua" — duchowna autobiografia Newmana.

Z pism teologicznych najważniejsze są: „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej" i „Gramatyka przyświadczenia", zwana w Polsce także „Gramatyką wiary". „Idea uniwersytetu" należy do najbardziej znanych pism Newmana o wychowaniu. Z wierszy, słabych naogół, przetrwał hymn „Prowadź, łaskawa Światłości!" („Lead, Kindly Light!") tak popularny w Anglii, jak u nas „Kiedy ranne wstają zorze", i „Sen Geroncjusza" — poemat o przeżyciach natychmiast po śmierci, do którego dorobił muzykę Elgar. W Polsce wydała go w przekładzie Księgarnia Św. Wojciecha.

Powieści Newmana nie stanowią ważnej pozycji literackiej. Jedna z nich „Strata i zysk" („Loss and Gain) jest obrachunkiem konwertyty, druga — „Callista" — opisuje życie pierwszych chrześcijan.

„Apologia" jest historią nawrócenia, napisaną w odpowiedzi na zarzut Kigsleya, który podejrzewał, że Newman pozostał w kościele anglikańskim już po wewnętrznym nawróceniu w celu rozbicia go od wewnątrz. „Apologia" jest jedną z najwybitniejszych pozycji angielskiej prozy zarówno przez styl jak i szczerość, intymność i wierność przedstawienia rozwoju przekonań.

Myśli, które przetrwały

Dziś pisma Newmana nie należą do powszechnie czytanych, jak kiedyś, gdy ludzie w omnibusach londyńskich pożerali nowe rozdziały „Apologii". Mimo to będą one zawsze wzorem wytwornego stylu, łączącego przejrzystość i subtelność myśli z żywym uczuciem i poezją. Treść ich stała się własnością kultury europejskiej.

Najważniejszym wkładem Newmana, bo był to wkład zarówno w Katolicyzm, jak i w naukę, była psychologia wiary. Na przeżyciach własnych zauważył on, że wiara jest aktem całej osobowości ludzkiej. Zainteresował się rolą woli, uczucia i wyobraźni w powstawaniu wiary jako aktu rozumu. Otworzyło to nowe widoki na psychologię nawrócenia, na pracę misyjną i apologetykę. Fakt, że nie ma dwóch jednakowych dróg do wiary, wskazywał na potrzebę nowych metod pracy misyjnej i apologetycznej, nie opartych wyłącznie na dialektyce.

Ważnym wkładem Newmana w teologię katolicką i pojmowanie dziejów Kościoła była idea ewolucji dogmatów. Według Newmana, nauka Kościoła rozwija się w ciągu wieków tak jak dąb z żołędzia. Prawdy dogmatyczne, zawarte w wierze i praktyce Kościoła pierwotnego, stają się znane, uświadomione i uzasadnione z biegiem czasu pod wpływem wypadków historycznych, ludzi, doświadczeń, sporów i ataków. Prawda pozostaje ta sama, ale stopień jej poznania i sposób jej ujęcia zmienia się na coraz doskonalszy. To dynamiczne i ewolucjonistyczne pojęcie dogmatu wpłynęło nie tylko na teologów katolickich, ale skorygowało także wiele dążeń protestanckich do „pierwotnego Chrześcijaństwa".

Cennym wkładem wielkiego kardynała w myśl pedagogiczną było pojęcie uniwersytetu. Celem istnienia uniwersytetu jest, według Newmana, przygotowanie do życia społecznego, nie zaś produkcja geniuszów. Uniwersytet powinien podnieść kulturę umysłową i uspołecznienie narodu.

Newman przestrzegał przed odsądzaniem, głównie przez przyrodników, innych nauk od tytułu nauki, zwracając uwagę na odrębność ich celów, zakresu i metod.

Choć sąd Newmana o literaturze nie zawsze był słuszny, jego definicja literatury katolickiej do dziś nie straciła swej wartości. „Katolicka literatura obejmuje wszelkie tematy literackie ujęte tak, jakby je ujął katolik i jak tylko on może je ująć" — pisał Newman.

Zainteresowanie myślą Newmana wpłynęło w w. XX na utworzenie stowarzyszeń newmanowskich w Kanadzie i USA. Po ostatniej wojnie zainteresowano się na nowo jego dziełami w Anglii, w Niemczech i w Polsce.

Treść tego artykułu nie wyczerpuje oczywiście, wiadomości o Newmanie. Stanowi tylko minimum, które każdy powinien pamiętać.

Witold Ostrowski

INDYWIDUALNOŚĆ DUSZY

Poniżej zamieszczamy fragment kazania: „The Individuality of the Soul". Pochodzi ono z czasu, gdy Newman był jeszcze anglikaninem, ale rzuca dużo światła na jego filozofię, którą rozpracowywał przez całe życie. Newman należy do tego nurtu myśli chrześcijańskiej, który zwraca uwagę przede wszystkim na czynniki indywidualne, na subiektywny stan jednostki dążącej do znalezienia obiektywnej prawdy; pod wieloma względami miał Newman poprzednika w Pascalu.

Jak wiadomo, Kościół katolicki buduje swoją teologię na podstawie filozofii zdecydowanie obiektywistycznej, rozważającej powszechne właściwości bytu — filozofii tomistycznej (por. Encyklika „Humani Generis"), ale nie sprzeciwia się bynajmniej temu aby różni ludzie dochodzili do obiektywnej niezmiennej Prawdy różnymi drogami. Dlatego dzieło filozoficzne Newmana zawsze zachowa swoją wysoką rangę w uniwersalistycznej kulturze katolickiej. Red.

Mało prawd przedstawia takie trudności, gdy chcemy je sobie wyobrazić, jak ta, że każdy człowiek ma swoją własną i odrębną duszę, że każdy z miliardów ludzi, którzy żyją, lub żyli kiedykolwiek, jest sam w sobie i dla siebie istotą tak zupełną i niezależną, jak gdyby wszechświat cały nie zawierał nikogo prócz niego. Czy sądzicie na przykład, że wódz naczelny armii zastanawia się nad tym, gdy posyła oddział swych żołnierzy na niebezpieczeństwa? Nie chcę przez to powiedzieć, że nie powinien on ich posyłać, zapytuję tylko, czy tak lub nie? Zdajeż on sobie z tego sprawę, że każdy z tych biedaków ma duszę, która jest mu równie droga i jest natury równie drogocennej, jak dusza samego wodza? Czy nie uważa on raczej armii za pewną zbiorową całość, czy nie widzi jej en masse, nie traktuje jak narzędzia, jak koła, sprężyny, należącej do pewnej wielkiej maszyny, czy nie widzi on indywidualności raczej w tych wielkich zbiorowych ciałach, niż w każdej z tych dusz, z których się jego armia składa?

Przykład ten pozwoli ująć moją myśl i wykaże, jak mało my wszyscy, ilu nas jest, rozumiemy naukę o indywidualności duszy ludzkiej. Grupujemy ludzi w wielkie masy, jak gdybyśmy dobierali kamienie, służyć mające przy budowie. Uprzytomijcie sobie, w jaki sposób zazwyczaj sądzimy o historii, polityce, handlu a spostrzeżecie, jak głęboko mam słuszność w tym, co mówię. Uogólniamy, ustalamy prawa, a potem rozważamy te towary własnego naszego umysłu i one stają się prawidłem i celem naszych czynów, jak gdyby w nich była rzeczywistość, a prawdziwość rzeczywistości zaniedbujemy.

Weźcie inny przykład: gdy mówimy o wielkości narodowej, co to właściwie znaczy? Znaczy to, że pewna ilość istot odrębnych od siebie i nieśmiertelnych pozostaje tu razem przez pewną liczbę lat w warunkach wzajemnego na siebie oddziaływania w ten sposób, że wywiązuje się stąd pewien rodzaj ogólnego wpływu, że są one w stanie ciążyć w pewien sposób na życiu świata, zdobywać bogactwa i potęgę; wskutek tego wydają się one wszystkie razem jakby jedną całością i są rozważane, jakby jedna osoba. Przez pewien ułamek czasu wydaje się, że są one wszystkie razem jedną tylko rzeczą, i my przyzwyczajeni sądzić o wszystkim na podstawie cech zewnętrznych gotowiśmy uwierzyć, że są to istotne całości i zapominamy, że wszystko to jest czymś całkiem innym. I gdy ten lub ów umiera, zapominamy, że to istota odrębna od innych i nieśmiertelna odeszła w świat niewidzialny, że zbiorowości, które zatrzymują myśl naszą, są pozorem i, że części, z jakich składają się one, są jedynie rzeczywiste. Nie myślimy o tym wszystkim i chociaż nieustannie coraz to nowi ludzie umierają i nowi ludzie się rodzą tak, że właściwie wszystko się zmienia nieustannie w tych zbiorowościach, my zapominamy przecież o wszystkim, co ginie, nie dostrzegamy tego, co nieustannie przybywa i gotowi jesteśmy trwać w mniemaniu, że zbiorowość, nazywana przez nas narodem, pozostaje tą samą i bez zmiany, i że jednostki, które rodzą się i umierają — żyją tylko w narodzie i dla narodu, są jakby ziarnami, które giną, zboża, które pozostaje.

Zastanówmy się nad widokiem jakiegoś ludnego miasta: Tłumy wypełniają ulice, jedni idą pieszo, drudzy jadą w powozach, sklepy są pełne i gdybyśmy mogli zajrzeć we wnętrzna domów, widzielibyśmy, jak są zaludnione. Wszędzie kipi życie. Tworzy się w nas pewien ogólny obraz przepychu, wspaniałości, zamożności, energii. Lecz jakąż jest prawda tego wszystkiego? Prawdą jest, że każda z istot z tego wielkiego mnóstwa jest sama dla siebie własnym swoim centrum i że wszystko naokoło niej jest tylką grą cieniów, „cieniem jałowym wszystko to jest, w którym porusza się każdy i śpieszy napróżno". Każdy ma swe nadzieje, swe własne obawy, swe zadania, swe sądy, swe plany; jest wszystkim dla siebie samego i nikt nie jest właściwie niczym dla niego. Nikt z zewnątrz nie może go właściwie dotknąć, dotknąć go w duszy jego, w samej nieśmiertelności, na zawsze każdy jest skazany być z samym sobą. Każdy ma w sobie niezgłębioną otchłań, niewyczerpaną głębię istnienia, i cała scena, na której jakoby działa on, jest w rzeczywistości światłem tylko, igrającym na jego powierzchni.

Zastanówcie się jeszcze: czytając historię spotykamy opisy wielkich rzezi i mężobójczych bitew, wielkich morów, głodów, pożarów i tu także rozważamy tłumy, jako istoty indywidualne. Nie możemy uprzytomić sobie, zrealizować, że taki tłum jest zbiorowością dusz nieśmiertelnych.

Powiadam: dusz nieśmiertelnych; każda z istot ludzkich, z jakich składały się te tłumy, nietylko **miała** duszę, gdy żyła na ziemi, ale **ma** duszę, która powróciła w swym czasie do Boga, który ją stworzył, ją, która nie zginęła, lecz żyje w Nim i teraz. Wszystkie te miliardy istot ludzkich, które przeszły przez naszą ziemię, wszystkie te niezliczone istoty, które, jedna po drugiej, widziały światło dzienne, żyją teraz i w tej także chwili. Tej prawdy, przyznacie mi to, nie jesteśmy w stanie sobie wyraźnie uprzytomić. Wszyscy ci Chananejczycy, których zgładziły z oblicza ziemi dzieci Izraela, wszyscy oni, każdy z nich, żyją teraz w tej chwili w jakiejś części wszechświata, w miejscu wyznaczonym im przez Boga... Każda z tych dusz żyje jeszcze. Miała każda z nich tu na ziemi swe własne myśli i uczucia: ma je ona i teraz. Miały one, każda z nich, swe upodobania, swe ambicje, dążyła każda z nich do tego, co się jej wydawało dobre i osiągnąwszy to, używała owocu; żyją one wszystkie i to, co robiły one w ciele, wywiera niezawodny wpływ na ich los obecny. Żyją one wszystkie zachowane dla dnia, który przyjdzie, gdy staną przed Bogiem narody.

Przypominamy sobie może, żeśmy przelotnie, będąc może jeszcze dziećmi, widzieli taką lub inną osobę; mniej niż snem jest teraz to spotkanie. Wydaje się to przypadkiem, który nas mija, a potem nic z tego nie pozostaje, jest to jakby twór jednej chwili, nie mający poza nią istnienia. Dmie wiatr, deszcz pada; ulewy i burze nie istnieją, gdy ich nie czujemy: niczym są one same w sobie; ale jeżeliśmy choć na mgnienie oka widzieli potomka Adama, widzieliśmy nieśmiertelną duszę. On nie przeminął, jak tchnienie wiatru i jak promień słońca: żyje on, istnieje w tej chwili w jednej z tych dzielnic szczęścia lub niedoli, gdzie wszystkie dusze czekają dnia ostatniego.

J.H. Newman

Tadeusz KORDYASZ

WARTOŚĆ TOMIZMU

(dokończenie ze str. 1)

tolskich zaistniała potrzeba przekazywania wiernym bezcennego depozytu Chrystusowego: wyjaśniania prawd wiary, które — same w sobie najjaśniejsze, nie zawsze okazują się takimi w stosunku do nas, — i obrony ich przed atakami herezji.

Herezje, które podnosiły głowę już u kolebki chrześcijaństwa i powodowały rozdarcie w jego łonie, walnie przyczyniały się do rozwoju teologii. Wynikały nie tylko z pychy i złej woli, ale i z fałszywego tłumaczenia tajemnic Bożych, co należy przypisać ułomności naszego umysłu.

Teologia jest nauką, której przedmiotem są prawdy objawione, przeważnie niedosiężne dla rozumu człowieka. Ale porządkuje ona, wyjaśnia te prawdy i wyprowadza z nich konkluzje za pomocą rozumu, posiłkując się nim, jak każda nauka. Chociaż głównym sprawdzianem jej prawdziwości jest autorytet Boga, warunkiem jej poprawności jest umysł człowieka. Boskie dogmaty są tu szlifowane ludzkim narzędziem. Tym zaś narzędziem jest myśl, która rządzi się swoimi prawami, działa według swoich metod, posiada swoje twierdzenia.

Ponieważ więc instrumentem teologii jest filozofia, nic dziwnego, że już od zarania wieków Kościół parał się filozofią. Filozofem musiał być Św. Paweł aby założyć podwaliny wiedzy teologicznej. Filozofować musieli Ojcowie Kościoła, pierwsi wykładowcy i apologeci wiary, jak Orygenes, Św. Atanazy, Św. Cyryl, Św. Augustyn, Pseudo-Dionizy Areopagita, Św. Maksym, Św. Jan z Damaszku, Beda Wielebny, Boecjusz, Aleksander z Hales, Św. Bonawentura, Św. Bernard, Piotr Abelard i św. Anzelm, słusznie zwany ojcem odrodzonej scholastyki. Wszyscy ci chrześcijanie zasłużeni w utrwalaniu doktryny posługiwali się pewnym określonym systemem myślenia, którym przeważnie był platonizm.

W XIII-tym wieku pojawił się nowy prąd, który na myśl chrześcijańską wywarł wpływ decydujący. Był to arystotelizm, reprezentowany przez św. Tomasza z Akwinu, największego filozofa i teologa w Kościele Katolickim, obdarzonego tytułem „Doktora Powszechnego".

I od XIV wieku aż do dziś wszystkie encykliki papieskie, poświęcone sprawie nauczania doktryny, polecają katolikom studium filozofii tomistycznej jako najbardziej harmonizującej z prawdami wiary.

W jakiej mierze ten głos Kościoła obowiązuje katolików, pragnących ugruntować w sobie światopogląd katolicki z pomocą filozofii?

Solenne listy papieży, zwane encyklikami, zawierają czasem nieodwołalne decyzje, stwierdzenia dogmatyczne dotyczące prawd wiary i moralności, których uznanie jest bezwzględnie obowiązujące. Częściej jednak są one tylko radami, z którymi zwraca się Ojciec do swoich dzieci. Jasną jest rzeczą, że wypowiedzi Piotrowych Następców, osnute wokół zagadnienia systemu naukowego, należą do tej ostatniej kategorii. Poszukiwania w zakresie metody muszą się cieszyć z natury rzeczy wolnością i nawet najwyższy autorytet nie może jej pozytywnie ograniczać.

Wśród tych wypowiedzi nie wszystkie z jednakowym naciskiem i w jednakowej formie nakłaniają wiernych do wyboru tomizmu. Istnieje różnica między stanowiskiem Jana XXII, streszczającym się w zdaniu „ile Tomasz napisał artykułów, tyle uczynił cudów", a słynną encykliką Leona XIII-go „Aeterni Patris", nakazującą studium Tomasza w uczelniach kościelnych. Innym tonem brzmi encyklika Piusa XI-go „Studiorum Ducem", niż encyklika Piusa XII-go „Humani Generis", poruszająca podobne tematy. Każda jednak z nich zawiera tę samą radę. Każda wzywa katolików do poznania tomizmu i wskazuje im na Tomasza z Akwinu jako na cenne światło, pewny drogowskaz w poszukiwaniu prawdy. Mamy więc do czynienia z głosem Kościoła, którego lekceważenie niedobrze by świadczyło o wierności jego synów. Faktem jednak jest, że tomizm jest dotąd mało znany przez katolików duchownych i świeckich. Faktem jest ponadto, że w Kościele istnieje antytomistyczny ruch umysłowy, zapoczątkowany już w wieku XIV-tym.

3. DLACZEGO TOMIZM?

Ponieważ wspomniany głos Kościoła odnosi się do systemu naukowego, mamy prawo zapytać, dlaczego jest tak wytrwały.

— Tomizm pojmujemy przede wszystkim jako filozofię. Filozofia jest wiedzą czysto ludzką. Wszystko zaś, co ludzkie, przemija. Dlaczego w Kościele Katolickim filozofia tomistyczna zdobyła sobie przydomek „wieczystej"? Czy dlatego, że tak długo jest używana w naszych uczelniach? Pod tym względem ma nad nią przewagę augustynizm, który jednak nie został zaszczycony tym mianem.

Czy może świętość życia Anielskiego Doktora zaważyła na szali? Świętymi byli: Bonawentura, Anzelm i Augustyn, a licytacja ich świętości nic nam dziś nie powie o klasie ich wiedzy. Zresztą system św. Tomasza jest prawie jednoznaczny z systemem Arystotelesa, którego trudno nazwać świętym.

Czy dlatego, że konkluzje jego filozofii pasują doskonale do dogmatów? Równie skutecznie bronił tych dogmatów św. Augustyn za pomocą filozofii Platona.

Pobożny Duns Szkot, operując swą zakwestionowaną dziś metodą, doszedł do wniosku, że Matka Boska jest Niepokalanie Poczęta, na przekór św. Tomaszowi, który właśnie w wielkiej Summie wywiódł mylnie, że jest przeciwnie. Takich konkluzji niezgodnych z dogmatami jest u niego więcej.

Te błędy konkluzyjne bynajmniej nie świadczą o słabości założeń, ani o brakach w rozumowaniu. Odwrotnie, są dowodem uczciwości naukowej Doktora Anielskiego, który, przyjąwszy raz daną metodę i rozpracowując ją z żelazną konsekwencją, nie zdradzał jej nawet wtedy, gdy sprawiła mu niespodzianki. Niespodzianki te wynikały z tego, że metoda filozoficzna, nastawiona na powszechne właściwości bytu nie mogła mu dać środków do uzasadnienia faktów wyjątkowych powstałych na skutek specjalnej ingerencji Boga (jak to ma miejsce w Niepokalanym Poczęciu.)

Nasuwa się podejrzenie, że „wieczystość" tomizmu jest sloganem pewnego monopolu, który w Kościele opanował wszystkie rynki zbytu i nie chce ich tracić. Że jest wyrazem tradycyjnego skostnienia, obawy przed twórczym wysiłkiem, marką przeszłości, którą bezprawnie zalepia się przyszłość. Pobożnym życzeniem tych, którzy nie spodziewają się znaleźć lepszych filarów w swojej ortodoksji.

W rzeczy samej po Tomaszu nie pojawił się żaden nowy system filozoficzny wśród katolickich myślicieli, który by wnosił nieprzemijające wartości. Przeciwnie. Cechują je naukowe niesprawdzalne koncepcje i powtarzanie starych, przezwyciężonych już błędów. Można to powiedzieć tak o Dunsie Szkocie, jak o Ockhamie, tak o Kartezjuszu jak i o Leibnitzu, ciążącym ku katolicyzmowi. Mamy wprawdzie dobrych katolików — egzystencjonalistów, ale trudno coś dobrego powiedzieć o egzystencjonalizmie. Mamy świątobliwego kapłana Jakubisiaka, który wielce prawowierne wnioski wyciąga ze swoich śmiałych tez, ale jego eklektycznej, skażonej fideizmem pseudofilozofii nie sposób brać poważnie.

Przeciwnicy tomizmu powiedzą, że to wszystko nie eliminuje zwycięsko tego systemu. Jest on też przecie dziełem człowieka, a każdy człowiek jest omylny. Nie można uznawać wypracowania pierwszego ucznia w klasie za bezbłędne dlatego, że jego koledzy popełniają wiele błędów. Głos Kościoła, kierujący nas w objęcia tomizmu, wymaga komentarza. Niezwykły przydomek „wieczysta" musi mieć ważkie uzasadnienie, którego należy szukać nie w osobie autora, nie w zewnętrznej zgodności wniosków tej filozofii z dogmatami wiary, nie w historycznej potrzebie, ale w samej metodzie. Winna ona odznaczać się naprawdę wewnętrzną, nieprzemijającą wartością, którą trzeba ocenić bezstronnym sądem.

4. WIECZNE WARTOŚCI TOMIZMU

Na ten temat wiele już napisano i jest rzeczą nieuchronną, że zdarzy mi się tu powtórzyć poglądy mądrzejszych ode mnie. Moją ambicją bedzie nie polowanie na rewelacyjne nowości, ale możliwie jasne i wypukłe wyrażenie tych poglądów.

W świecie przemijającym istnieją przecież wartości nieprzemijające, wieczne. Każdy uzna, że miłość, sprawiedliwość, wolność, ład, porządek, dobro, zdrowie, piękno, harmonijny rozwój, celowe działanie — należą do takich.

Nietrudno określić nieprzemijające wartości umysłu ludzkiego. Wszyscy od niego wymagamy przede wszystkim, aby był zgodny ze swą naturą, czyli uniwersalny, nie zaś ciasny i ograniczony czymkolwiek. Dalej żądamy, aby był w zgodzie z rzeczywistością, czyli realistyczny, obiektywny, nie zmącony subiektywnymi fantazjami i mrzonkami. Na koniec — i to najważniejsze — chcemy, aby w swym działaniu był zawsze wyrazem zdrowego rozsądku, czyli naturalnego, wspólnego wszystkim normalnym ludziom sądu rozumu. Jednym słowem, aby był zdrowy, naturalny, nie sztuczny i chorobliwie wykoszlawiony.

Filozofia więc, jako płód ludzkiego umysłu winna odznaczać się tymi cechami.

5. UNIWERSALIZM TOMIZMU

Jeden z najzdolniejszych filozofów polskich, ksiądz J. Salamucha, którego twórczy mózg w pełni rozwoju roztrzaskały zbrodnicze kule faszystów, określił niegdyś styl architektoniczny tomizmu jego uniwersalizmem. Styl ten polega na wszechstronności zasięgu, wszechstronności metody i podporządkowaniu metody przedmiotowi. Znaczy to, że przedmiotem badań tomizmu jest wszelka rzeczywistość, bez ograniczeń; że badania te prowadzi on każdą dostępną metodą, odpowiednią dla danej rzeczy. Doświadczenia nie ogranicza spekulacją, analizy syntezą, praw materii prawami ducha. Nie gardzi żadnym realnym sposobem poznania, przyswaja sobie każde wartościowe osiągnięcie.

Św. Tomasz często cytuje zdanie Św. Ambrożego: „Wszelka prawda, przez kogokolwiek byłaby wyrażona, pochodzi od Ducha Świętego" i zgadza się ze Św. Justynem, że „wszystko, cokolwiek światłego powiedzieli ludzie, należy do nas, chrześcijan". Dlatego znajdujemy w jego systemie wiele pierwiastków z Platona, Św. Augustyna, Awerroesa, Mojżesza, Majmonidesa, Arystotelesa i wielu innych wcześniejszych i współczesnych mu myślicieli tak chrześcijańskich, jak pogańskich. O. Jacek Woroniecki w swoim studium pt. „O katolickości Tomizmu" wykazał, że znajdują się tam również wszystkie ziarna prawdy, tkwiące i w po-tomistycznych, współczesnych nam systemach filozoficznych.

Zdawało by się, że między marksizmem np. i tomizmem jest mało punktów stycznych. A jednak, gdy kto napotka marksistowską tezę: „Od wrażenia zmysłowego do abstrakcyjnego myślenia i od abstrakcyjnego myślenia do praktyki — taka jest dialektyczna droga poznania prawdy", — musi uderzyć go bliskość tych dwu teorii poznania. Wiadomo zaś, jaką rolę w każdej filozofii gra teoria poznania obiektywnej rzeczywistości.

Mimo zasadniczych różnic między tymi dwoma systemami, można znaleźć niejedną tezę, wspólną tomizmowi i marksizmowi. Takimi tezami spośród ważniejszych są:

1. Źródłem naszego poznania są spostrzeżenia zmysłów.
2. Spostrzeżenia te mają obiektywną wartość.
3. Umysł ludzki posiada nieograniczoną możność poznawania przyrody.

Nie należy tylko wyobrażać sobie tomizmu jako jakiegoś systemu eklektycznego, jako jakiegoś nieuporządkowanego składu różnych twierdzeń, wyrwanych dowolnie z obcych nauk, jako bukietu kwiatów zebranych z każdej łąki. Jego uniwersalizm jest syntetyczny, twórczym zawładnięciem — za pomocą określonej metody — światem wszelkich zjawisk, organicznym wchłonięciem i uporządkowaniem wielu odrębnych prawd.

Zarzucają Tomaszowi, że jest mało oryginalny. I to jest prawda. I to jest jego największą zaletą. Filozof powinien być jak najmniej oryginalny. Powinien być jak najbardziej powszechny, wspólny wszystkim, gdyż myślenie jest wspólne wszystkim ludziom, a prawa tego myślenia są jednakie. W filozofii nie ma miejsca na wynalazki w rodzaju prochu, czy żarówki Edisona. Filozofia prawdziwa narasta wiekami, płynie powoli jak wielka rzeka, rozwija się naturalnie, jak rolnictwo, czy tkactwo, wraz z człowiekiem, który postępując naprzód, korzysta z osiągnięć pokoleń poprzednich.

Ponieważ jednak w XX-tym wieku oryginalność stała się cenioną zaletą, nie odmówmy jej i Tomaszowi. Wśród „oryginalnych" filozofów — jest przecież on najbardziej oryginalny właśnie przez brak oryginalności, której się wyrzekł z miłości dla prawdy.

Wprawdzie na tle czternastego wieku jego system był rewolucją, ale na tle ogólnego dorobku myślowego ludzkości jest on zjawiskiem ewolucyjnym.

Tadeusz Kordyasz

W następnym numerze artykuł T. Kordyasza: „Filozofia zdrowego rozsądku"

Józef BIENIEK

ZŁOCKIE SPRAWY

Gdy w początkach 1949 roku rozeszła się w sądeczczyznie wieść, że górska wioska Złockie koło Muszyny przystępuje do nowych form gospodarki rolnej — uważano to za kiepski żart. No bo jakże. Wieś w górach, gdzie skomplikowana rzeźba terenu uniemożliwia pełniejszą mechanizację działań uprawowych i sprzętowych, a specyficzna struktura glebowa i klimatyczna stwarza dla produkcji zbożowo-okopowej warunki najbardziej niekorzystne — w takiej wiosce spółdzielnia! Toż to — mówili domorośli ekonomiści — czyste szaleństwo, które poza milionami strat żadnego efektu nie przyniesie.

A przecież właśnie Złockie, mimo wszyskiego Złockie — ta pierwsza na terenie górskim placówka wspólnego życia nie tylko nie może się nie udać ale musi, i to najrychlej, osiągnąć najwyższe efekty, aby stać się zachętą i wzorem. Właśnie dlatego, że na nią i na świeże w sąsiedztwie jej powstałe komórki zespołowe mające tworzyć zalążek potężnego kombinatu hodowlanego na Podhalu patrzą oczy setek wsi górskich.

Tu trzeba właśnie dróg wyjścia dla mas chłopskich grzęznących w zaspach nędzy. Tu, jak w limanowskim. nowotarskim czy żywieckim, gdzie często-gęsto na 100 ha ornej ziemi „żyje" 60 rodzin, a miejsce ma 20, gdzie większość ornej ziemi to wydarte lasom zbyrki i kamieniste grapy o spadkach tak silnych, że nie utrzyma się na nich żadna maszyna, gdzie psychiczny i gospodarczy indywidualizm górala przewyższa wszystko, co w tej kategorii pojęć i uczuć wyróść zdołało na obszarze całego kraju.

Właśnie tu, gdzie istniejące stosunki są jednym wielkim gospodarczo-społecznym i kulturalnym skandalem — wołającym silniej niż wszędzie o najrychlejsze przemiany. Więc właśnie tu, choć trudniej niż na dolinach, gdyż produkcja musi być bardzo zróżniczkowana, na głębokich studiach możliwości danego terenu oparta, odbiegająca prawie zawsze jak najdalej od utartych prawem bezmyślności i zacofania wzorów tradycyjnego gospodarowania. Pełna przy tym pomysłowości, inwencji i aktywności po linii wyszukiwania wszelkich ewentualności ekonomicznych i dochodowych, oraz najbardziej praco-chłonnych struktur zajęciowych, aby tą drogą potężny nadmiar rąk, którego nie od razu wciągnąć zdoła powstający równocześnie przemysł — zatrudnić i racjonalnie wykorzystać, a zabiedzonego chłopa na ludzki poziom bytowania wydźwignąć.

Więc tu! Właśnie tu! Dlatego tu — że źle, że ciasno, że pilno! Że bardzo pilno!

Złockie — połemkowska gromada, nasiedlone zostało w roku 1947 elementem biedniackim z sądeczczyzny i sąsiednich powiatów. Dla ludzi tych w ciągu trudnych lat minionego życia myśl o własnym kawałku ziemi, na której by produkować mogli własne zboże i osiągnąć raz nareszcie do syta własnego chleba — było marzeniem najgorętszym i bezustannym. Gdy objęli w Złockiem gospodarstwa o dużych połaciach ziemi, zdawało im się, że dosięgnęli szczytów szczęścia, że wytęskniony w głodne lata mit zboża i chleba został nareszcie zdobyty.

Próbują go realizować praktycznie ładując w ziemię dawno narosłe tęsknoty twórcze — całą pasję twardych rąk, żarliwych serc i... wygłodzonych żołądków. Wszelkie siły, wszelkie uczucia, wszelką myśl. Ale próbują po staremu — sposobami przyniesionymi z dolin, gdzie ziemia lepsza a klimat łagodniejszy. I nie udaje się. Więc uraz. Pierwszy. Taki maleńki i nieznaczny. Ale jest.

Wtedy od strony czynników nadrzędnych przychodzą koncepcje nowe, które powiadają, że z nieopłacalnej w tutejszych warunkach gospodarki zbożowo-okopowej przerzucić trzeba myśl i ręce na inne kategorie działań, że nie dotychczasowy przedmiot chłopskich zachwyceń, pupilka każdego szanującego się gazdy — pszenica, ale koniczyna i trawy, ale krowy i owce, stanowić będą punkt centralny tutejszej gospodarki. Że to one właśnie dadzą chłopu biały chleb i tłuste dochody.

Pogląd w ekonomice górskiej raczej stary, ale nowy, rewolucyjny niemal w pojęciach tamtych ludzi, często analfabetów, nauczonych inaczej, wierzących ślepo naiwnym dogmatom chłopskiej religii gospodarczej, że ten je chleb kto ma zboże, kto je sieje. Więc znów uraz. Już drugi. Tym razem silniejszy, bo czerpiący moc w potężnym przeświadczeniu o niemożliwości prawdziwie chłopskiej, gazdowskiej egzystencji bez posiadania własnych podstaw zbożowych, bo podsycany trudnym nawet do uchwycenia poczuciem pewnej degradacji ustalonej tradycyjnymi narostami hierarchii chłopskiej godności.

— Kto sieje zboże — mówi któryś ze złockich chłopów — ten gazda kto pasie, — ten pastuch.

Potężna skala różnicy w brzmieniu słów g a z d a i p a s t u c h kazała mi się domyślić reszty i mruknąć:

— W tym sęk...

Gdyby Złockie pozostawiono w takim stanie rozterki gospodarczej i psychicznej własnemu losowi i nagromadzonym tu siłom i tęsknotom nie znaleziono właściwego ujścia, skierowanego w turbinę działań planowych i zespołowych — zmarnowałaby się ona na bezsensownej szarpaninie w kręgu mizernych możliwości pojedyńczego a spętanego biedą osadnika, na samotnych poszukiwaniach, próbach i zawodach. Ich zaś najbardziej pozytywny wynik nie dałby nigdy efektów zgodnych z włożonym wkładem sił i możliwym do osiągnięcia zachodem wspólnym.

Ale właśnie wtedy i w głowie wójta tutejszej gminy, osadnika na Złockiem, Artura Krokowskiego dojrzał plan założenia spółdzielni produkcyjnej, którą też w styczniu 1949 r. zorganizowano.

Sam pomysł wspólnoty narodził się w szerszym gronie złockich osadników już w 1947. Towarzyszyły temu okoliczności następujące. Latem 1947 roku po wyjeździe Łemków przybyło do Złockiego 20 rodzin zajmując opuszczone gospodarstwa. Jedna w drugą — sama biedota. Poza żarliwą wolą pracy i zdrowymi rękami — nic, lub prawie tyle co nic na nowe życie nie posiadając. W polach dojrzewały właśnie zboża, które trzeba było zebrać, a ogołocone niwy zaorać i zasiać. Było trudno. Bardzo trudno. Ale najtrudniej w pojedynkę. I wtedy to gromada osadnicza zorganizowała się w pewnego rodzaju zespół samopomocowy, pracujący zbiorowo. Jeden dla wszystkich — wszyscy dla jednego.

W taki sposób zebrano żniwa i dokonano pierwszych siewów. Zasiano między członkami zespołu serdeczną przyjaźń, która ścierając ostre kanty indywidualnych nawyków przygotowała grut do dalszych poczynań na tej linii. Przeprowadzono także praktyczną lekcję wartości wspólnego działania, której wynik zadecydował w stopniu niemałym o powstaniu złockiej spółdzielni. Zasiana w tamtą jesień myśl, na wiosnę zamieniła się w czyn.

W tym czasie przybyło do Złockiego jeszcze kilkadziesiąt rodzin i choć wiele z nich zostało członkami spółdzielni, to przecież tamta początkowa grupa przoduje wciąż. Jest pierwszą w pracach społecznych na terenie gromady, a przede wszystkim jest żelazną gwardią złockiej spółdzielni.

Struktura gospodarcza ziem górskich od Dunajca po San uległa po wyjeździe Łemków olbrzymim przeobrażeniom. I tak gdy przed wysiedleniem na obszarze Złockiego liczącym 1.182 ha, w czym ziemi ornej tylko nie całe 400 ha, dusiło się, wegetując w straszliwej ciasnocie i nędzy, 400 rodzin — to dziś, w wyniku rozsądnego nasiedlenia na przestrzeni tej żyje 71 rodzin, w czym tylko 51 trudni się rolnictwem, zajmując obiekty o powierzchni 6 — 7 ha, po połowie ziemi ornej i pastwisk.

Ogólny obszar Złockiego pozostający po działaniach regulacyjnych do dyspozycji gromady wynosi 380 ha ziemi ornej, 73 ha łąk, 100 ha hal, ponad 200 ha pastwisk i 136 ha lasów. Reszta — las obszarniczy przeszedł na własność państwa.

W tak wyregulowanym środowisku, gdzie zasadniczo nie ma bogaczy ani biedaków, gdzie nie istnieją poważniejsze podstawy do wyrastania konfliktów klasowych, gdzie osadnik otrzymanej ziemi nie okupił wysokimi cenami gotówki czy trudu — powstanie gospodarki spółdzielczej wydawać by się mogło rzeczą bardzo łatwą, a przynajmniej łatwiejszą niż w normalnych warunkach. Prawda pozorna tylko. Kto bowiem sięgnie w problem głębszy i zważy ciężar marzeń o w ł a s n e j ziemi człowieka, który jej nigdy nie miał, lub miał za mało, a przez to skazany był na poniewierkę i nędzę, który latami całymi pragnął tylko — ziemi, stawiającej ongiś człowieka w rzędzie sytych i szanowanych — ten pojmie, że właśnie nie mogło się obejść bez wyrzeczeń, urazów i oporów.

Ich częściowym wyrazem jest choćby fakt, że po dziś połowa chłopów tkwi wciąż na starych pozycjach, obserwując chciwie działania spółdzielcze i wyczekując pozytywnych efektów, które brzmieć będą stokroć skuteczniej niż najpiękniejsze nawet słowa. Jedynie dla chłopa zrozumiałym językiem konkretu.

Spółdzielnia w Złockiem liczy 34 członków. Zarząd jej stanowią: Ziemnik Jan, Mędoń Wojciech, Lubiak Nicefor, Fedorczak Wawrzyniec i Dobrzańska Anastazja. Areał przestrzeni użytkowej spółdzielni wynosi: 170 ha ziemi ornej, 73 ha łąk, około 200 ha hal oraz 136 ha lasu. Działki przyzagrodowe wycięte od razu przy regulacji mają po 1 hektarze.

Mimo silnych wzniesień i poszarpanej płaszczyzny obszaru uprawnego niemal całość orki dokonywana jest traktorami. Świetnie spisuje się zwłaszcza traktor typu „Bulldog", o kołach zębatych, doskonale trzymających się spadzistych zboczy. Kładzie fakt ten, naocznie obserwowany, kres grasującemu powszechnie przekonaniu o całkowitej nieprzydatności traktora do prac rolnych w terenie górskim.

Nie to jest przecież w Złockiem najważniejsze, gdyż podstawą gospodarki tutejszej będzie hodowla. Wszystkie też siły młodej spółdzielni idą i pójdą przez kilka lat w kierunku rozbudowy stanu bydła i owiec, co warunkuje kontynuowanie linii hodowlanej jedynie w tutejszych warunkach racjonalnej i opłacalnej.

Zdolność wypasowa „Jaworzyny" (tak nazywa się złocka spółdzielnia) po dojściu do maksymalnej skali obliczona jest na 1000 sztuk — 500 owiec, 500 bydła. Równocześnie z rozbudową areału zwierzęcego rozbudowywać się będą elementy przemysłu z hodowlą związanego. I tak dzisiejsza zlewnia przeobrazi się w mleczarnię, przy której powstanie serownia, aby, zaopatrując pobliskie uzdrowiska w mleko i jego przetwory, zyskiwać lepsze ceny i większe dochody.

Powstaną również w ramach Spółdzielni Pracy — cegielnia, młyn, tartak, tkalnia, trykotarnia itp. Ma już Złockie dom ludowy, a w nim pięknie wyposażoną świetlicę. Wybu-



dowano w roku bieżącym potężną halę maszyn, w której znajduje się jeden z najbogatszych w powiecie SOM-ów z 4-ma traktorami, oraz najróżnorodniejszymi maszynami i narzędziami. Rozpoczęto również budowę okazałego gmachu szkoły podstawowej oraz przebudowę biegnącej przez wieś drogi, która otrzyma nawierzchnię z kostki betonowej.

Jest gdy o hodowlę i jej możliwości na terenie górskim chodzi, plusem niemałym niezwykle wysoka jakość odżywcza traw górskich. Już dziś, przy prymitywnej gospodarce, dają one rzadko notowane wyniki — 4% tłuszczu w mleku, osiąganego przez zlewnię w Złockiem przeciętnie w ciągu całego lata. Praktycznie oznacza to 600 zł w nowej walucie, które otrzymuje miesięcznie za mleko właściciel trzech dobrych krów — Jakub Kotas.

Te 600 zł to nie tylko pokrycie licznych potrzeb domowych i gospodarskich — to przede wszystkim czynnik likwidujący skuteczniej niż najuczeńsze referaty owe wspomniane już kompleksy urazów. To zarazem złoty środek, przy którego pomocy najłatwiej dokona się tu przejście z kierunku zbożowego na hodowlany, z grzęzawiska wegetacyjnego impasu i ślepych umiłowań na szeroką przestrzeń kalkulacji i dobrobytu.

Tym bardziej, że po zracjonalizowaniu hodowli i wyżywienia, po doprowadzeniu łąk, hal i pastwisk do właściwej kultury — ów procent i tamte dochody znacznie się jeszcze powiększą. Słowem — wbrew pozorom i obawom, już dziś dokładniejsze obliczenia wskazują, że spółdzielnie górskie typu hodowlanego lub mieszanego, mądrze i śmiało prowadzone dadzą znacznie większe dochody niż spółdzielnie nizinne — zbożowo-okopowe.

Jest w głośnej powieści Bruce Marshalla p.t. „Chwała Córy Królewskiej" moment, gdy ks. Smith przemawiając na zebraniu kapituły mówi tak:

„Jedną z przyczyn tego, że świat nie został przekonany jest moim zdaniem fakt, że ludzie uważają iż Kościół, który identyfikują z klerem uczy moralości o małym nie zaś o dużym zakresie. Słyszy jak z kazalnic naszych potępia się cudzołóżców, złodziei i morderców, nie słyszy natomiast byśmy potępiali pracodawców-wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich, lub polityków godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach."

Swoistą prawdę tych słów można i trzeba przetransponować na grunt polskiej wsi, gdzie akurat właściwa postawa kleru odnośnie zagadnień zła społecznego, oraz systemów zło owo wykrywających i likwidujących jest sprawą niesłychanie aktualną i ważną.

Komuś stojącemu zdala od wsi, lub nie wierzącemu, wydawać się może, że zagadnienie to nie jest znów aż tak ważne, aby się nad nim dziś właśnie szerzej rozwodzić. Dzieje się przecież tyle rzeczy oszałamiająco wielkich i pięknych. Jednak jest faktem, który brzmi jak paradoks, a którego nie ma potrzeby ani zaprzeczać, ani udowadniać, że socjalistyczną Polskę buduje naród co najmniej w 90% katolicki.

Stąd liczne i mocne wątpliwości, o wyjaśnienie których oczy katolików — budowniczych socjalizmu zwracają się z niepokojem w stronę czołowych ośrodków myśli katolickiej.

Wyczekiwanie to występuje również na tych wsiach, gdzie powstały już i powstają spółdzielnie produkcyjne. Podane niżej, autentyczne i niemal dosłowne wynurzenia członka spółdzielni w Złockiem — są właśnie nurtujących obaw, wątpliwości i niepokojów klasycznym przykładem.

Zastałem go w dużej, schludnie choć ubogo umeblowanej izbie, ozdobionej szeregiem religijnych obrazów i ołtarzykiem, na którym przed statuą Matki Boskiej paliła się lampka. Siedział nad grubym tomem pism Lenina.

— Grzęznę w tym — powiedział zamykając książkę z gestem człowieka, który akurat zakończył rąba-

(ciąg dalszy na str. 6)

ZŁOCKIE SPRAWY

(dokończenie ze str. 5)

nie fury drzewa — już od kilku dni i ledwie żem się przedarł. Tak trudno pojąć to nowe. Ale pojąć trzeba.

A potem zapatrzył się w okno, poza którym widniały na jasnym tle nieba wieże kościoła i wskazując tam wysypał przede mną plon wielu przedumanych godzin — żarliwą wiązkę słów, zwalających z serca gniotący go od dawna ciężar.

— Powiedzcie mi — zaczął — jak to jest, bo ja już gubię się w rozterce: czy religia nasza zgadza się ze spółdzielczymi formami gospodarki, czy Bóg nie potępi naszych zamiarów i nie przekreśli po swojemu naszych wysiłków. Chodzi o to, że po stronie katolickiej nie próbowano jeszcze dostatecznie jasno i ko konkretnie wyjaśnić wsi, co w tej materii czynić ma chłop-katolik, jakie są katolickie zasady społeczne odnośnie wspólnot rolniczych i czy zakładając je nie popadamy w konflikt z własnym sumieniem, z wyznawanym światopoglądem.

Z boku tylko idą szepty i pogłoski, że to grzech, że to zaprzeczenie przyrodzonych człowiekowi praw. Jakich to, za pozwoleniem praw. Jednych do pychy, wyzysku i obżarstwa, drugich do poniewierki, krzywdy i głodu. Nie wierzę, by takie właśnie były prawa naturalne bo wiem, że najbardziej przyrodzonym prawem człowieka jest prawo do sprawiedliwości, do dobrobytu, do piękna. A przynajmniej do sytości i człowieczeństwa. A tego właśnie stare formy ustrojowe nigdy olbrzymiej masie biednego chłopstwa dać nie mogą.

Więc nie wierzę. Tym bardziej nie wierzę, że widzę iż w miastach tysiące, miliony ludzi żyje bez owych przyrodzonych praw, nie opętane magią tak pojętej własności, nie obwarowane zasiekami granic i miedz. Żyje kulturalniej niż my chłopi. I wierzy w Boga. Nie gorzej od nas. A kto wie, czy nie głębiej i piękniej — bo bezinteresownie. Podczas gdy wiara niektórych chłopów nie płynie z serca, lecz z zabobonnego lęku, lub chytrego wyrachunku, że z Bogiem który dysponuje piorunami, gradem, powodzią czy suszą, gospodarzowi zadzierać nie wolno.

I jeśli już o te sprawy chodzi, to myślę, że gdy poprzez uspołecznienie gospodarki rolnej wydrze się z serca chłopskiego zarastającą je hydrę przyziemnych pragnień i żądz — to na takiej metamorfozie zyska przede wszystkim idea miłości bliźniego i stojący nad nią Bóg. Rzecz w tym, aby w momencie, gdy w przestrzeniach psychicznych „rozebranej" z dotychczasowej formy własności wsi powstaną nowe formy współżycia — umiał ją Bóg wypełnić sobą i stać się celem zdobywanym żarliwiej, niż przedtem ziemia i bogactwo.

— Nie mogę zrozumieć — ciągnie dalej tamten — dlaczego lansuje się gdzieniegdzie opinię, że spółdzielczość produkcyjna to fakt wybitnie negatywny w stosunku do religii i Kościoła. Myślę, że to raczej czasy pańszczyźnianej poniewierki należało takimi kategoriami oceniać. Obawiam się zaś, że wielu spośród odpowiedzialnych katolików ówczesnych z większą obojętnością patrzyło na tak jawną krzywdę, niż niektórzy katolicy dzisiejsi na fakt, że próbuje się znaleźć dla mas chłopskich drogę do kulturalniejszych warunków życia.

Tym bardziej więc trudno przyznać rację wysuwanym po cichu czy na głos pretensjom odnośnie koncepcji kolektywnej na wsi: niech ci, którzy nie umieli czy nie chcieli wskazać wsi dróg rozwoju doczesnego przez tyle wieków — nie dziwią się i nie żżymają, gdy czyni to w tej chwili ktoś inny.

Jest w zagadnieniu tym jeszcze jeden moment wagi wyjątkowo doniosłej. Oto milczenie na temat katolickich poglądów na spółdzielczość produkcyjną na wsi stwarza i gruntuje w masach chłopskich przeświadczenie, że Kościół mimo wszystkiego nie uznaje i nie uzna tej formy gospodarowania. Przysparza to na razie Kościołowi na wsi specyficzne formy uznania. Konserwatyści, chciwcy, malkontenci i Bec-Walscy wiejscy, uważają Kościół za ostanią przystań na burzliwym morzu dzisiejszości i garną się chętniej niż przedtem w mury świątyń modląc się żarliwie. Niestety nie o zachowanie łaski, ale o zachowanie... nagromadzonych cudza nędzą skarbów.

Przeświadczenie takie, umacniając barykady oporów, urazów i niechęci opóźnia pochód nowego, rodzi liczne, nieraz bardzo ostre konflikty, które, rzecz jasna, nie przynoszą korzyści ani wsi, ani spódzielczości, ani Państwu. Myślę więc, że wyraźne zdeklarowanie się w tej materii pomogłoby nam walnie przebrnąć przez nową zaspę nawyków, przyzwyczajeń i umiłowań, które tak mocno dzielą stare od nowego.

Tak czy siak sprawa ustosunkowania się katolicyzmu wiejskiego do omawianego zagadnienia musi ruszyć z martwych pozycji. Jest bowiem absolutnym nonsensem, aby ci spośród chłopów - katolików, którzy stanęli już do budowy dróg ku lepszemu, czynili to w ciągłej rozterce, dręczeni wątpliwościami, obawami i niepokojem, lub w oderwaniu od Kościoła, zaś ci, którzy wiążą jeszcze tkwią na starych pozycjach — aby czynili z Kościoła twierdzę dla obrony swych czysto ziemskich i wstecznych umiłowań.

Skrzypią drzwi — ktoś wchodzi, mój rozmówca milknie, przez moment osacza nas ciężka jak tamte prawdy cisza. Odzywam się wreszcie — nie bardzo wiedząc co powiedzieć, uspokajam wzburzonego przyjaciela — nie bardzo wiedząc jak to zrobić. Bąkam coś o właściwym, chrześcijańskim stosunku do bogactw ziemskich.

— Znam to — przerywa mi tamten niecierpliwym szarpnięciem — Nie o to mi chodzi. Ale jeżdżąc tu i tam często słyszę lub czytam o nieufności niektórych katolików wobec spółdzielni produkcyjnych. Więc niepokoję się. Więc nie rozumiem. I dlatego chciałbym usłyszeć w tej materii więcej katolickich opinii i dlatego chciałbym wiedzieć co w tym wypadku ważniejsze — granice pól, czy granice dusz.

Młode jest życie polskiego Złockiego — młoda jest jego spółdzielnia, młoda parafia tutejsza i młody jej proboszcz. I dlatego to zapewne między formami złockiego życia i młodym przedstawicielem starego Kościoła panuje na tym terenie idealna zgoda.

Proboszcz, zdając sobie sprawę, że tak, czy owak, wcześniej czy później, zmiana ustroju gospodarczego wsi polskiej nastąpić musi — nie lęka się idących wydarzeń, ale owszem wychodzi naprzeciw nich z gromada złockich chłopów, rozwiązując łagodną i mądra perswazią ich powiązania z nawykami, łagodząc ostrą gorycz rozstania z kultem własnego.

— Nie sądzę — mówi on — aby nowe formy ustrojowe na wsi przeszkadzały w czymkolwiek realizowaniu postulatów katolicyzmu. Uważam raczej, że przy odpowiedniej postawie kleru ułatwią formy owe zbliżenie się mas chłopskich ku Bogu. To też wydaje mi się, że jednym z najpilniejszych zadań Kościoła na wsi jest intensywne zbliżenie idei wspólnoty gospodarczej na wsi do przykazań Chrystusowych, aby nie dopuścić do najmniejszego „luzu" między płynącym wartko w nowym korycie życiem a Kościołem.

Mówią o swoim proboszczu złoccy chłopi często, chętnie i życzliwie. Że pomaga im przebrnąć przez zwartą gęstwę starych nawyków. ułatwiając wejście w krąg nowego, że podpiera swym autorytetem wątłe jeszcze siły z trudem organizującej się spółdzielni, że jest najbardziej pozytywny i lojalny.

Mocna i rozsądna, taktowna i światła postawa ks. Zorka zjednała mu ogólny mir i szacunek. Nawet u ludzi, których o sympatie do Kościoła posądzać nie ma potrzeby.

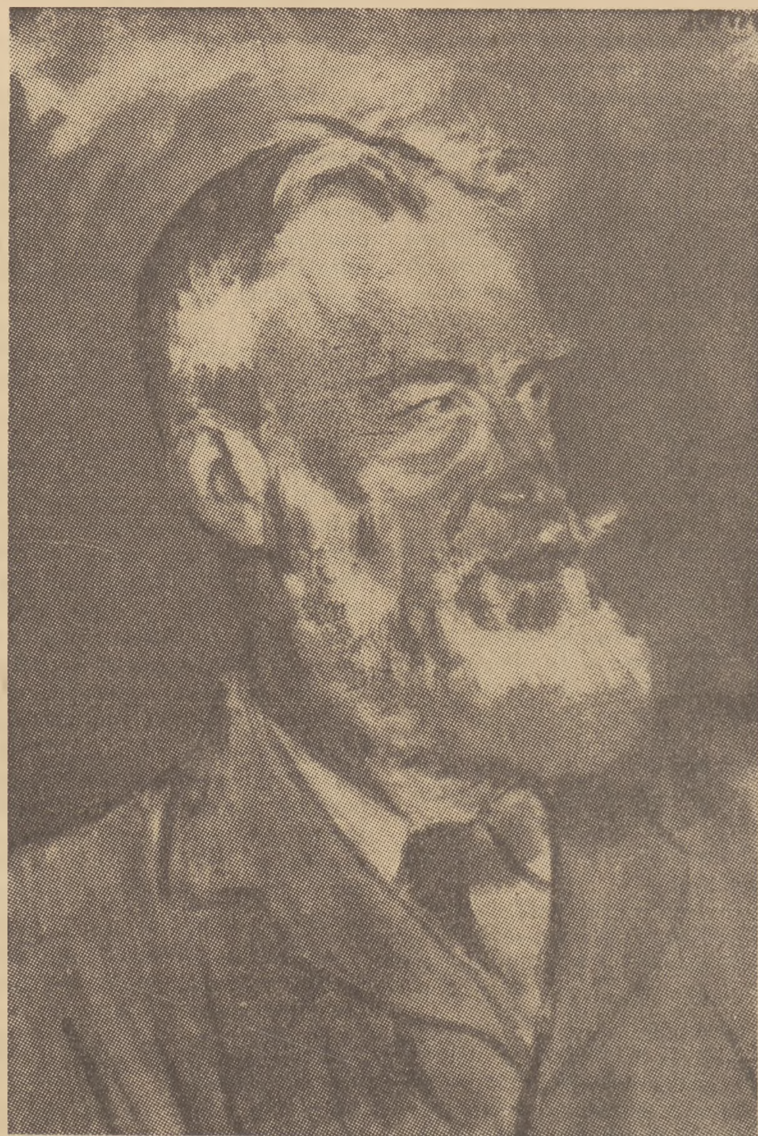
Odchodzę, gdy dolinę Złockiego zasypuje przejrzystym puchem chłodnego mroku październikowego noc. Mijając domy czaję się jak złodziej i zaglądam w ich wnętrza, aby zobaczyć prywatnie niejako twarze ludzi, którzy wybrali się w trudną drogę, ku trudnemu szczęściu. Jedne są spokojne, uśmiechnięte i rozświetlone łagodną ufnością i wiarą w sprawiedliwość nadchodzących wydarzeń. Inne zaś są poważne i zamyślone, lub krzepkie jak spracowana dłoń. A na wszystkich widnieje jakiś szczególny wyraz, który pojmuję jako dojrzewającą świadomość wartości zaistniałych tu wypadków.

W górze, zawieszone w głębinach „Oceanu Niebieskiego" dysza srebrzystym tchem krople gwiazd .A między nimi jedna szczególnie wielka i przyjazna lśni jak ongiś nad Betlejem. Być może że i ta zwiastuje narodziny nowych czasów, w których tak długo ignorowane „lewe" konta ksiąg narodu chłopskiego zapisze się ważkimi cyframi. Aby rachunek został wyrównany.

Nad Złockiem złocą się gwiazdy, a w Złockiem złoci się kolebka lepszej doli górala.

Józef Bieniek

G. B. S.
NIE ŻYJE



Twórczość George'a Bernarda Shaw nie da się zamknąć w lapidarnej i nie budzącej sprzeciwu definicji. Gdyż jeśli odsunie się na bok wszystko, co w niej było sztuką, a zostawi to, co było z walki idei, tak znamiennej dla naszej epoki, autor „Pigmaliona" nie miał właściwie żadnego światopoglądu. I, szczerze powiedziawszy, mieć nie mógł — leżało to poniekąd poza sferą zdobyczy, wyjątkowo tylko osiągalnych dla wybitnego charakteru lub umysłu. Zresztą, Shaw dzielił tu los Szekspira, który podobno też nie miał poglądu na świat. Ale Szekspir nie robił z siebie kaznodziei, ani — z wyjątkiem „Hamleta" — nie prowadził ze sobą dysput. Shaw, na gruncie swego teatru, bez przerwy dysputował ze sobą samym, najgłębiej — i najniesłuszniej — przeświadczony, że dysputuje z „porządkiem rzeczy".

Niestety! Porządek rzeczy nigdy jakoś nie chciał się zmieniać dzięki publicznym auto-dysputom, choćby je podejmowały indywidualności miary bardzo wysokiej, obdarzone płomiennym temperamentem i wyostrzonym intelektem, dwiema najniezawodniejszymi na pozór siłami kierowniczymi talentu czy geniuszu. Nie znaczy to, że słowo nie jest zdolne zmieniać „porządków rzeczy" i musi ustąpić pola czynowi i działaniu. Bo przecież słowo co najmniej toruje drogę. Poprzedza wszelki czyn i, że sięgniemy po inną przenośnię, przyświeca, niby żagiew, ludziom działania i walki. Dramaty Henryka Ibsena, na pewno zbyt przemilczanego dzisiaj, uderzały w przesądy, ciasne konwencje i zacofane formuły ustroju społecznego nie mniej gwałtownie, niż sklepane z nonszalancją komedie Shaw'a, pełne dowcipu, ironii i szyderstwa. Lecz Shaw nie dorównał Ibsenowi. Nie dorównał dlatego, że mu brakowało zdecydowanej postawy Ibsena. Wyrywał cegiełkę po cegiełce z „porządku rzeczy" starego, kiedy Ibsen twardo budował nowy. Zdaniem Chestertona, Shaw zeskrobywał „pozłótkę z piernika". Szkoda, że, zeskrobując pozłótkę obłudy z obyczajów naszego wieku, nie umiał się doskrobać bezwzględnych prawd moralnych. Reklamiarz relatywizmu, purytański święty z bródką Mefista.

Czy uważać Shaw'a za „nieśmiertelnego"? Był jedyny w swoim rodzaju i sporządzał swe komediowe auto-dysputy z mistrzowskim lekceważeniem mistrzostwa, więc chyba tak. W przeciwnym razie trzeba by wyrzucić do rupieciarni wiele ogromnych i namiętnych dzieł, w których każde nazajutrz znajdowało obraz niekoniecznie poczciwego wczoraj.

Wtedy nie uchowałaby się nawet „Komedia ludzka" Balzaka.

Wiesław

Pięciolecie Filharmonii Bałtyckiej

W dniu 27 października obchodziła 5-lecie swego istnienia Filharmonia Bałtycka, czołowa instytucja artystyczna Wybrzeża Gdańskiego. Stworzona jesienią 1945 r. w Sopocie dzięki inicjatywie kompozytora Zb. Turskiego i skrzypka Tadeusza Wrońskiego, pozyskała sobie drogą planowej pracy wychowawczej wierne audytorium, złożone początkowo głównie z melomanów sopockich, lecz stopniowo coraz bardziej również z młodzieży i mas pracowniczych Gdańska, ostatnio zaś i Gdyni.

Wysokie ambicje artystyczne Filharmonii podtrzymywali: długoletni dyrygent F. B. Bohdan Wodiczko oraz kolejni dyrektorzy Zbigniew Turski, dr. Stefan Śledziński i dr. Zygmunt Latoszewski. Kiedy w pierwszym koncercie w r. 1945 zespół składał się z 35 muzyków i 2 solistów, koncert jubileuszowy (w programie: Szopen i Moniuszko; przy batucie — Turski i Latoszewski; pianista — Szymonowicz) wykonała już orkiestra złożona z 80 osób, kilkunastu solistów i 60-osobowego chóru operowego.

Ostatnie osiągnięcie przeniesionej od roku do Gdańska Filharmonii Bałtyckiej pod dyr. Z. Latoszewskiego stanowią rozwinięte z pracy Studia Operowego stałe przedstawienia operowe. W przeddzień jubileuszu odbyło się 25 przedstawienie recenzowanego na naszych łamach „Eugeniusza Oniegina", a po operze Czajkowskiego pójdzie wkrótce „Straszny dwór" Moniuszki. (E. M.)

Sergiusz EISENSTEIN

SŁOWO I WYOBRAŻENIE

Na polskie ekrany w czasie Festiwalu wejdzie po raz pierwszy sławny film Sergiusza Eisensteina „Pancernik Potiomkin" w nowej udźwiękowionej wersji.

Sergiusz Eisenstein był nie tylko jednym z największych twórców sztuki filmowej, doskonałym reżyserem ale teoretykiem i pedagogiem. Wpływ Eisensteina na rozwój kinematografi a szczególnie jego wpływ na twórczość zachodnio-europejską, działa nie tyle przez jego filmy, niedopuszczone na ekrany przez cenzurę, ale przede wszystkim przez jego teoretyczne prace. Eisenstein swoją praktykę filmową opierał na wielkiej erudycji teoretycznej i filozoficznej.

Drukujemy poniżej fragment pracy Sergiusza Eisensteina pt. „Słowo i wyobrażenie". *red.*

*

.....Przykład który będę cytował jest typowy dla filmu, nie będąc związany z pojedyńczym przedmiotem, ale z obrazem całości zjawiska...

Przykład ten jest pewnym szczególnym scenopisem. Z nagromadzonej masy składowych szczegółów i widoków powstaje zupełnie namacalny obraz. Nie zostało to napisane jako wykończone dzieło literackie, ale po prostu jako notatki wielkiego mistrza, przy pomocy których usiłował on sprecyzować na piśmie dla siebie samego swoje wyobrażenie wzrokowe Potopu.

Scenopisem do którego się odwołuję, są uwagi Leonarda da Vinci o wyobrażeniu malarskim Potopu. Wybieram ten szczególny przykład bowiem został w nim pokazany słuchowo-wzrokowy obraz potopu z niespotykaną jasnością. Tak doskonała koordynacja dźwięku i obrazu uderzająca jest nawet u tak wielkiego malarza jak Leonardo.

„Widać było ciemne i chmurne powietrze, smagane biegiem rozmaitych wiatrów, spowijanych nieustannym deszczem, zmieszanym z gradem i niosących to tu, to tam niezliczone gałęzie potarganych drzew z niezliczonymi liśćmi. Wokoło widać było stare drzewa wydarte z korzeniami i szarpane przez wściekłość wichrów. Widać było ruiny gór, podmytych już przez biegi rzek, walące się w te rzeki i zamykające ich doliny; a rzeki te, wezbrawszy, tworzyły jeziora i zatapiały mnóstwo krajów wraz z ich ludami.

Mógłbyś też był widzieć zgromadzone na szczytach wielu gór różnego rodzaju zwierzęta, przerażone i zgłodniałe w towarzystwie mężczyzn i kobiet z dziećmi. A pola zalane wodą, ukazywały fale pokryte w wielkiej części stołami, łóżkami, barkami i innymi różnymi sprzętami, stworzonymi przez konieczność i strach przed śmiercią, a na nich znajdowali się mężczyźni i kobiety ze swymi dziećmi wśród lamentów i płaczów, przerażeni wściekłością wiatrów, które wśród niezmiernej burzy odwalały wodę ode dna wraz z zatopionymi przez nią trupami. I nie było jakiegokolwiek lżejszego od wody przedmiotu, nie pokrytego różnymi stworzeniami, które, zawarłszy pokój skupiały się lękliwie razem, a między nimi wilki, lisy, węże i rodzaj wszelki, uciekający przed śmiercią. I wszystkie fale, bijące o brzegi, walczyły z nimi, smagając je rozmaitymi ciałami zatopionymi, a uderzenia te zabijały wszystko, co pozostało przy życiu.

Mogłeś był widzieć gromady ludzi, którzy zbrojną dłonią bronili szczupłych, pozostałych im miejsc przeciw lwom, wilkom i drapieżnym zwierzętom, szukającym tam ocalenia. O, ileż huków okropnych było słychać w ciemnym powietrzu, smaganym przez wściekłość grzmotów i wypadających zeń piorunów, które przebiegały je wśród zniszczenia, uderzając we wszystko co im stanęło na drodze! O, iluż byłbyś widział ludzi zatykających sobie własnymi rękami uszy, by uniknąć niezmiernych huków wywołanych w ciemnym powietrzu przez wściekłość wiatrów, zmieszanych z deszczem, grzmotami niebios i szałem piorunów!

Inni, którym nie dość było zamykać oczy, zakrywali je jeszcze bardziej własnymi dłońmi, kładąc jedną na drugą, by nie widzieć strasznej zagłady, którą gniew boski dotknął rodzaj ludzki. — Ach ileż skarg i ile przerażonych rzucało się ze skał! Widać było grube gałęzie wielkich dębów obciążone ludźmi i niesione w powietrzu przez wściekłość burzliwych wichrów.

Ileż było barek przewróconych do góry dnem: jedne całe inne rozbite na szczęty, a wszystkie pełne ludzi, którzy, by ocaleć mozolili się w postawach i ruchach bolesnych, przeczuwając okropną śmierć. Inni ruchami rozpaczliwymi odbierali sobie życie, wątpiąc, czy zdołają znieść takie cierpienie; jedni z nich rzucali się z wysokich skał, inni ścikali sobie szyje własnymi rękoma, inni chwytali własne dzieci i zabijali je niezwłocznie; inni ranili się własną bronią i zabijali się sami, inni rzucając się na kolana polecali się Bogu. Ach, ileż matek płakało swych utopionych dzieci: jedne trzymając je na kolanach i wznosząc rozwarte ramiona do nieba, głosami, złożonymi z różnych języków, wyrzucały Bogom ich gniew; inne z dłońmi złączonymi i splecionymi palcami, gryzły je i jadły skrwawionymi zębami, pochylając piersi do kolan skutkiem niezmiernej i nieznośnej boleści.

Widać było stada zwierząt, jak konie, woły, kozy, owce, które otoczone już wodą, stojąc na wyspie wysokiego szczytu gór, staczały się razem, a te w środku podnosiły się w górę i deptały po innych i staczały z sobą wielkie bitki, w których wiele z nich ginęło z braku pożywienia.

I jęły ptaki siadać na ludziach i innych zwierzętach, nie znajdując odkrytej ziemi, która by nie była zajęta przez żywych; już głód, sługa śmierci, odebrał życie większej części zwierząt podczas gdy martwe ciała już w rozkładzie podnosiły się z dna głębokich wód i wypływały na powierzchnię i uderzając wśród walczących fal o siebie nawzajem i odskakując jak piłki pełne powietrza wstecz od miejsca uderzenia, układały się na wyżej wspomnianych trupach. A nad tym przekleństwem widać było powietrze pokryte ciemnymi chmurami, przeciętymi od wężowych ruchów oszalałych piorunów niebieskich, świecących to tu, to tam, wśród ciemności mroków..." *)

Tekst powyższy w intencji autora nie miał być poematem lub szkicem literackim. Peladan, wydawca francuskiego przekładu traktatu Leonarda o malarstwie uważa ten opis za niezrealizowany plan obrazu, obrazu który byłby niedoścignionym arcydziełem jako opis żywiołowej walki. Jest w każdym razie oczywiste, że opis ten nie jest chaotyczny i że jest rozwiązany w ten sposób, że cechy jego nie są charakterystyczne dla sztuk przestrzeganych ale raczej dla tych, które posiadają rozciągłość czasową.

Nie zajmując się oceną szczegółów tego specyficznego skryptu filmowego należy podkreślić fakt, że opis ten kieruje się zupełnie określonym ruchem. Przy tym kierunek tego ruchu nie jest zupełnie przypadkowy. Ruch ten odbywa się w określonym porządku, i potem stosownie do „odwrotnego porządku" powraca do zjawiska opisanego na początku. Obraz zaczęty opisem nieba kończy się podobnym ale bardzo zintensyfikowanym. Środkowy fragment zawierający opis grupy ludzi i ich przeżyć zaczyna się obrazem nieba, następnie ludzi, wreszcie od ludzi poprzez grupy zwierząt wraca do opisu nieba. Szczegóły zostały nagromadzone przy końcu w punkcie największego napięcia. Wystąpiły tu z doskonałą jasnością typowe elementy kompozycyjne montażu. Zawartość w ramach poszczególnych epizodów kolejnych scen jest wzmacniana narastającą intensywnością zdarzeń.

Rozpatrzmy to co można by nazwać wątkami zwierzęcymi: zwierzęta usiłują uciekać, zwierzęta są spychane powodzią, są zatapiane, walczą z ludźmi, walczą między sobą, zwłoki zatopionych zwierząt unoszą się na wodzie. Oto stopniowe zanikanie stałego lądu spod stóp ludzi, zwierząt i ptaków osiąga punkt kulminacyjny w chwili, gdy ptaki zostaną zmuszone do osiadania na ludziach i zwierzętach wówczas, gdy już nie mogą znaleźć ani kawałka ziemi nie zatopionego i wolnego.

Urywek ten dobitnie przypomina, że rozłożenie szczegółów w obrazie na jednym planie także zakłada ruch będący ruchem oczu prowadzonym kompozycją od jednego zjawiska do drugiego.

Oczywiście w tym wypadku ruch ten jest wyrażony mniej bezpośrednio aniżeli w filmie, w filmie bowiem śledzimy następstwo sekwencji w porządku ustalonym przez autora montażu.

Opis Leonarda jakkolwiek wybitnie cząstkowy spełnia swoje zadanie nie tylko w sensie katalogu szczegółów, ale wypełnia je wykreślając drogę, według której powinna się orientować uwaga widza patrzącego na płótno. Widzimy tu wspaniały przykład jak w wyraźnie statycznym współistnieniu szczegółów nieruchomego obrazu zostaje zastosowana ta sama zasada selekcji w komponowaniu, dokładnie ten sam porządek w zestawianiu fragmentów jak w sztukach operujących rozciągłością czasową.

Montaż ma prawdziwe znaczenie wówczas gdy oddzielne cząstki dają w zestawieniu uogólnienie, syntezę założonego tematu. Jest to wyobrażenie organizujące temat.

Wychodząc od tego ustalenia do procesu twórczego dostrzeżemy, że przebiega on w następujący sposób: przed wewnętrzną wizją, przed postrzeżeniem twórcy istnieje dane wyobrażenie uczuciowe organizujące temat. Zadaniem twórcy jest przekształcenie tego wyobrażenia w kilka podstawowych częściowych wyobrażeń, które połączone i zestawione wzbudzą w świadomości i poczuciu widza, czytelnika albo słuchacza, to samo początkowe wyobrażenie, które było zawarte u podstaw procesu twórczego.

Dotyczy to tak samo wyobrażenia w całości sztuk jak i wyobrażenia każdej oddzielnej sceny albo części. Stosuje się to także dokładnie w ten sam sposób do twórczości aktora.

Aktor staje wobec tego samego zadania — wyrazić w dwóch, trzech albo w czterech rysach charakteru lub sposobu zachowania te podstawowe elementy, które w zestawieniu tworzą pełne wyobrażenia, wypracowane przez autora, reżysera i samego aktora.

Oto co jest specyficznego, co warto podkreślić w takiej metodzie: Po pierwsze i najmocniej jej dynamizm. Wynika on z tego, że wyobrażenie nie jest ustalone, gotowe, ale powstaje, rodzi się. Wyobrażenie zamierzone przez autora, reżysera i aktora, konkretyzuje się w oddzielnych elementach przedstawienia i zostaje ostatecznie połączone w percepcji widza. To właśnie jest ostateczny cel wysiłków twórczych każdego artysty.

Gorki precyzuje to w liście do Konstantego Fedina: „Mówisz, że męczy cię zagadnienie jak pisać. Śledziłem przez 25 lat w jaki sposób to zagadnienie nurtuje ludzi. Tak, to poważny problem, męczyłem się tym sam, męczę się i będę męczył do końca moich dni, lecz oto jak ja formułuję ten problem: jak mam pisać, aby człowiek, nie jest ważne kim on będzie — wynurzył się ze stron opowiadania o nim, z taką siłą i fizyczną namacalnością swego istnienia, taką dobitnością swojej na pół wyobrażonej realności, z jaką ja sam go widzę i czuję. To jest w moim zrozumieniu punkt ciężkości i zagadka tej sprawy..."

Montaż ułatwia rozwiązanie problemu. Siła montażu polega na tym, że włącza on w proces twórczy uczucia i umysł odbiorcy. Odbiorca zostaje zmuszony do przeżycia tej samej drogi twórczej, którą przeżył autor, tworząc obraz. Odbiorca nie tylko widzi przedstawione elementy skończonej pracy, lecz także przeżywa dynamiczny postęp, przebieg powstawania, łączenie wyobrażeń, tak, jak to przeżywał autor.

Oczywiście jest to najwyższy możliwie stopień zbliżenia we wzrokowym przekształceniu spostrzeżenia i zamiarów autora i przedstawienie ich z tą siłą „fizycznej namacalności", z jaką powstaje w jego twórczej pracy i wizji.

Z tą częścią rozważań związana jest definicja Marksa o przebiegu prawdziwych badań: „Nie tylko wynik, ale i droga do niego, jest także częścią prawdy. Badanie prawdy musi być samo prawdziwe — prawdziwe badanie jest rozwiązane prawdziwie — oddzielne człony łączą się w wyniku".

Siła metody zawiera się także w okoliczności, że odbiorca jest wciągnięty w akt twórczy tak, że jego indywidualność nie jest podporządkowana indywidualności autora, ale pozostaje swobodna w procesie zjednoczenia z intencją autora, tak samo, jak indywidualność wielkiego aktora bywa zjednoczona z indywidualnością wielkiego pisarza w stworzeniu klasycznego obrazu scenicznego.

W istocie, każdy widz, w zależności od cech indywidualnych swojej własnej drogi i niezależnie od swego doświadczenia, fantazji, od osnowy i wątku swoich skojarzeń, wszystkich uwarunkowań cechami charakteru, obyczajów i społecznych obciążeń, tworzy obraz zgodny z kierunkiem zamierzonym przez autora, prowadzący go do zrozumienia i przeżycia tematu. I tak obraz, który obmyślił i stworzył autor jest jednocześnie tworzony przez odbiorcę.

Mógłby ktoś pomyśleć, że nie może być nic bardziej zdefiniowanego i jasnego jak niemal naukowy rejestr szczegółów „Potopu" w „scenopisie" Leonarda.

Niemniej jednak, obraz, który powstaje w umyśle każdego czytelnika, jest indywidualny, powstaje bowiem z wyodrębnienia i zestawienia szczegółów danych wszystkim czytelnikom tego dokumentu. Każde wyobrażenie jest w tym samym stopniu różne i podobne, jak byłyby różne i podobne role Hamleta, czy Leara, grane przez odmiennych aktorów, z odmiennych epok i teatrów.

Sergiusz Eisenstein

*) *przekład L. Staffa*

Uwagi o nowej pracy

Mają to być uwagi o nowej pracy związków artystycznych, w tej chwili ujawniającej się szczególnie w ramach Związku Literatów Polskich i Związku Kompozytorów.

Związek Literatów Polskich jeszcze na zjeździe w Szczecinie, w styczniu 1949 roku, odrzucił przymiotnik „zawodowy“. Oznaczać to miało, że główny akcent pracy związkowej przesunął się poza wyłączną dbałość o ciasno pojęte interesy materialne członków. Lecz wtedy jeszcze, w Szczecinie, ujawniono tylko intencję zmian charakteru pracy związkowej, nie precyzując dokładnie nowych form, Dopiero zjazd ostatni, odbyty w Warszawie w czerwcu 1950, nakreślił ramy nowej pracy. Na zjeździe postawiono przed Związkiem Literatów odpowiedzialne zadanie przejęcia całej troski już nie tylko o materialny byt pisarzy, ale przede wszystkim o ideowe oblicze polskiej literatury współczesnej, o jej poziom i kierunek. Związek właśnie, a nie gabinety redakcji czy wydawnictw, stać się winien warsztatem nauki pisarskiej, kuźnią nowych form, laboratorium doświadczeń, studium samokształceniowym. Analogiczne zadanie mocą rozwoju ogólnokrajowej sytuacji kulturalnej — stanęło i przed innymi związkami artystów. Odrębność tych związków od pozostałych związków zawodowych została zaznaczona wystąpieniem z CK ZZ i stworzeniem własnej centrali stowarzyszeń artystycznych.

Reorganizacja Związku Literatów, mająca na celu wypełnienie zadań podanych wyżej, doprowadziła do utworzenia sekcji roboczych, tak w Stolicy, będącej największym skupiskiem pisarzy jak i na prowincji. W Warszawie ukonstytuowało się sześć sekcji: sekcja prozy, dramatu, poezji, literatury dziecięcej, tłumaczeń i satyry. Zgrupowały one od kilkunastu do kilkudziesięciu (sekcja prozy ponad stu) członków. Udział w ich pracach jest obowiązkowy pod rygorami organizacyjnymi. Na prowincji gdzie oddziały Związku Literatów są o wiele szczuplejsze — zorganizowano mniejszą liczbę sekcji (dwie lub trzy), ewentualnie stworzono tylko kilkuosobowe koła pracujące nad danymi zagadnieniami.

Sekcje rozpoczęły swą pracę jesienną roku bieżącego, mając za sobą doświadczenia zebrań bardziej ogólnych (rozmaitych „czwartków“, „śród“ czy „poniedziałków“) które wskazywały, że owocność dyskusji osiąga się jedynie przy dużym ograniczeniu i sprecyzowaniu tematu. Nie udają się na ogół ogólne, postulujące jakieś zasady generalne, — natomiast duże ożywienie i zaciekawienie staje się udziałem dyskutujących nad konkretnym materiałem literackim, nad ściśle określonym dziełem: nad wydaną książką czy odczytanym rękopisem. Żywy materiał pobudza rozważania osłabiane przez ogólne, często będące truizmem wywody. Doskonałym przykładem służyła w tym względzie warszawska sekcja prozy, której dyskusja pierwsza (właśnie owe ogólnikowe „obowiązki pisarza doby współczesnej“) rozlewała się leniwie, po mieliznach kanałów, podczas gdy druga nadkonkretna powieścią Bogdana Hamery „Na przykład Plewa“ była żywa, ciekawa, gorąca, namiętna i na pewno dała wiele zarówno samemu autorowi, jak i obecnym. To samo powiedzieć można o sekcji literatury młodzieżowej, gdzie omówienie powieści Newerlyego „Archipelag Ludzi Odzyskanych“ stało się okazją żywej wymiany zdań. W sekcji poezji referat uratowało w dyskusji przerzucenie jej na rozpatrywanie twórczości konkretnych poetów, co wywołało żywą polemikę.

Praca sekcji w Związku Kompozytorów przybrała ten sam charakter, — zbiorowych dyskusji i doświadczeń — rzecz jasna inną mając formę. Sekcji tych jest zresztą (jak na 100 osobowy związek) bardzo wiele, gdyż aż szesnaście Organizują one publiczne koncerty dla ściśle określonej publiczności (dla dzieci, dla młodzieży, dla środowisk robotniczych) ze specjalnie dobranym repertuarem (np. pieśń masowa) i potem, zaraz na gorąco, każdy utwór poddawany jest dyskusji, uwagom, sporom, w czym żywy udział biorą odbiorcy, słuchacze zarówno laiccy jak pracujący w tym zawodzie (np. nauczyciele śpiewu i muzyki). Inaczej niż Związek Literatów — kompozytorzy uczynili swe niektóre posiedzenia robocze platformą zetknięcia z szerokim odbiorcą ich sztuki.

Życzyć by należało, by udział twórców katolickich w pracach wszystkich sekcji — szczególnie w Związku Literatów — odpowiadał ich społecznej pozycji. Jest to życzenie zarówno kierowane pod adresem władz związkowych, jak i samych pisarzy katolickich, niezawsze objawiających w tym względzie dostateczną aktywność

Gb.

Roman KOŁONIECKI

KLEJNOTY I RUPIECIE

NA MARGINESIE „ZIELONEGO FRAKA“

Ilekroć „Zielony frak“ był wystawiany, przedwojenne programy teatralne głosiły, że jest to satyra na Akademię Francuską. Twierdzenie to wydawało mi się zawsze bardzo powierzchowne. Tkwił w nim pewien wabik reklamy, pomysłowe polowanie na aktualność: śmiejmy się — i my teraz mamy swoją Akademię Literatury i swoich „nieśmiertelnych“... Ale na ten chwyt reklamowy nabierali się niekiedy nawet recenzenci i wierzyli, że istnienie PAL naprawdę wzmaga atrakcyjność „Zielonego fraka“ na naszym terenie. Nie spostrzegali oni. że humor Flersa i Caillaveta nęci po prostu jak pierwszorzędny „towar przedwojenny“, któremu ówcześni fabrykanci śmiechu na próżno usiłowali jakością dorównać.

W satyrze zawsze znajduje upust negacja i dezaprobata. Sztuka satyryka odznacza się tym, że ideały są w niej nieobecne, wykrywalne tylko przez kontrast ze zwielokrotnioną i zdeformowaną rzeczywistością, którą pragnie się zwalczać. Humor satyryczny jest najczęściej pionierski, rewolucyjny, moralizatorski. Postawa satyryka wymaga, by praktyczne cele jego sztuki trzymały w karbach temperament artystyczny. Komedie Flersa i Caillaveta tych wszystkich znamion nie posiadają. Humor tej dwójcy pisarzy jest nie tylko ekspresją i formą, lecz również skończonym i zamkniętym jak układ słoneczny, poglądem na świat. Autorzy „Zielonego fraka“ nie nadają się na sędziów ani na spowiedników współczesności; wierzą w świat, w mądrość historii, w jakiegoś swojego Boga, zadowoleni są z życia; śmiech ich dopiero wtedy, gdyby nie był pyszną zabawą i wykwintną sztuką, stałby się ostoją reakcji, konserwatyzmu, prawie że ciemnego wstecznictwa. Śmiech ten jest żywiołem, namiętnością, nie ma nic wspólnego z „gospodarką śmiechu“ artystów-reformatorów, artystów - kaznodziejów, artystów - buntowników. Jest przyrodzoną cechą pewnego określonego sposobu patrzenia na rzeczywistość i wszelkie ludzkie sprawy.

Flers i Caillavet nie zamykają się w osobliwej twierdzy swego humoru: umożliwia on spojrzenie tak ostre, tak wnikliwe i drażące, że świat przez nich widziany, nie jest oazą spokoju i ciszy, lecz widowiskiem prawdziwym, gdzie wszystko zdaje się słuchać laseczki tajemniczego trefnisia. W komediach tej spółki autorskiej śmiech jest narzędziem świadomości, efektem niezwykłego uwrażliwienia, które pozwala widzieć wszystko i reagować na wszystko w ten sposób, że groźby się rozbrajają, dusze ludzkie ukazują się nagle wyraźnie jak na zdjęciu Roentgena, a wszelkie możliwe konflikty tracą siłę i złowrogie napięcie. Twórczość Caillaveta i Flersa jest więc nie tylko przysłowiową „szkołą optymizmu“, lecz także szkołą wiary w człowieka, w los, w przyszłość — szkołą filozofów.

Ten humor na poły zabawowy, na poły poznawczy, po pierwszej wojnie światowej ostatecznie ustąpił placu humorowi innemu, wyłonionemu jak gdyby z katastroficznej dewizy Beaumarchais'go: „Śmiejmy się — kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie“. Taki humor nie znał żadnych nietykalnych świętości, nie hierarchizował zjawisk i wartości, które istniały w otaczającej człowieka rzeczywistości praktycznej, jakby rozmyślnie uderzał w najdrażliwsze sploty nerwowe, był czymś w rodzaju cierpiętniczej monomanii. Tu mają swój rodowód najostrzejsze ówczesne satyry, pragnące być groźbą i wizją niebezpieczeństwa, zapowiedzią jakichś idących niszczycielskich mocy, perspektywą przemian niezwyczajnej doniosłości. Śmiech, nie jako celowa walka, lecz jako artyzm, stawał się coraz rzadszy — podobnie jak dowcip, którym humor posługuje się jako tropem, jako metaforą.

W „Zielonym fraku“ — w postaci deputowanego Durand, który zostaje w końcu prezydentem republiki — mamy jakby jednego z „nowych panów“: sfera książąt, hrabiów, markizów, generałów i baronów w konwencji współczesnych nastawień socjalnych, jest przejściem do sfery dynastów i książąt krwi, a więc nawiązaniem do nastrojów dworu seredańskiego i osoby jego władcy. Akademia Francuska, rzekomo wystawiona tutaj na pośmiewisko, nie traci nic ze swego kilkuwiekowego nimbu, pozostaje wielkim, godnym podziwu dziełem Richelieu'go; śmiechem witamy tylko taniec kukiełek ludzkich, którym takt dyktuje laseczka mistrzowskich trefnisiów.

Komedie Caillaveta i Flersa, zwłaszcza może „Zielony frak“, przywodzą nieodparcie na myśl Prousta. Proust lubuje się w zdzieraniu z twarzy ludzkiej niezliczonych masek, z religijną wprost pasją usiłuje się dokopać do jakiejś istotnej prawdy o człowieku: Caillavet i Flers przeciwnie — bawią się tymi maskami, jak na karnawałowej tomboli, cieszą ich te wielobarwne kostiumy, te pozorne gesty i pozy, te grymasy i dziwaczne miny — cały ten swego rodzaju teatr obrzędowy, jakim są stosunki międzyludzkie. Parmeline, opowiadający o swej włoskiej przygodzie językiem melodii muzycznych, to jakby lekka karykatura Swanna, który przeżywa całe dzieje swej miłości, ilekroć słucha sonaty Vinteuila. Zebranie u księstwa de Maulevrier stanowi jakby syntetyczny skrót balów chez Verdurins, czy chez Guermantes u Prousta. Tylko że, surowe spojrzenie Prousta, zatraca się u Caillaveta i Flersa wśród lekkich girland uśmiechu, w glorii dyskretnej pobłażliwości.

Roman Kołoniecki

Meksykańskie impresje

Zmarły w roku 1948 Egon Erwin Kisch — autor „Jarmarku sensacji“ i „Chin bez maski“ — należał niewątpliwie do czołowych postaci w dziejach dziennikarstwa światowego. Prócz doskonałego opanowania techniki reportażu, Kisch posiadał specyficzną umiejętność synchronizowania historycznej retrospekcji z wydarzeniami aktualnymi. Ten szczególny rodzaj publicystyki, wymagający rzetelnej wiedzy i opanowania mnóstwa materiału historycznego uwidacznia się również i w ostatniej (w dosłownym znaczeniu) książce Kischa o Meksyku *), dokąd go zagnała zawierucha wojenna i panoszący się w Europie hitleryzm.

Meksyk — kraj zasobny w bogactwa naturalne (złoto, bawełna, nafta, mika itd.), stanowiący od wieków aż po dzień dzisiejszy teren zaborczych ekspansji wszelakiego rodzaju konkwistadorów: kraj pełen dziwów przyrody i osobliwości obyczajowych został odtworzony przez Kischa, erudystę — reportażystę w sposób interesujący i barwny, choć może nieco chaotyczny. Ale właśnie ta mozaikowość przeplatających się tematów i opisów jest charakterystyczna dla dziennikarza, pragnącego w szeregu artykułów naświetlić całokształt meksykańskich zagadnień. Kisch jest historykiem, kiedy pisze o podbojach Corteza i niepowodzeniach władców meksykańskich na przestrzeni dziejów. Jest geografem, kiedy opisuje miejscowe wulkany i osobliwe piramidy. Zamienia się w przyrodnika, dając nam szczegółowy wykaz rosnących w Meksyku kaktusów ze zdradzieckim, odurzającym peyotlem na czele. Oto Kisch - etnograf, wyodrębniający poszczególne grupy narodowości i ich obyczaje (np. zamiłowanie do walk kogucich).

Kisch — społecznik ukazuje nam ciężkie i twarde warunki życia ludu meksykańskiego — prowadzi nas do leprozorium — strasznej osady trędowatych. Wreszcie Kisch — ekonomista boleje nad paradoksalną wprost sytuacją Meksyku, kraju bogactw mineralnych i roślinnych, z których korzystali i korzystają wszyscy inni, tylko nie Meksykańczycy.

Zadziwiająca i pouczająca jest różnorodność zainteresowań Kischa. Oczywiście, gdybyśmy zamiast niego, posłali tam sztab uczonych specjalistów — historyka, geografa, przyrodnika, etnografa itd. — otrzymalibyśmy szereg prac, naszpikowanych cyframi, nazwami i datami, szeroko i wnikliwie ab urbe condita potraktowanych. Każda z tych prac stanowiłaby gruby tom, a gruntowne poznanie całości pochłonęłoby nam parę lat.

Syntetycznemu, dziennikarskiemu ujęciu Kischa można by zapewne zarzucić niejedno z punktu widzenia naukowego, ale znaczenie praktyczne tych reportaży w sensie zainteresowania jak największej ilości czytelników sprawami „egzotycznego“ Meksyku — jest bezsprzecznie ogromne.

Tłumacz omawianej książki osobiście znający jej autora, miał niejakie trudności z przyswojeniem językowi polskiemu osobliwości i zawiłości stylu Kischa, do czego zresztą lojalnie na wstępie się przyznaje. Trzeba przyznać, że zasadniczo trudności te zostały z pewnymi wyjątkami zwycięsko pokonane.

Pewne wątpliwości natomiast budzi użycie przez tłumacza słowa „sorta“, o którym — jako obcym duchowi języka polskiego Szober wyraża się z dużym zastrzeżeniem.

Dalej — takie wyrażenia, jak „większość ludzi słyszało“ (str 139) lub „dwadzieścia cztery dworek“ (str. 216) i inne, których tu nie wymieniam, są dowodem już raczej niedbałości ze strony korekty.

Całość jednak, jako zbiór pożytecznych i w wysokim stopniu interesujących reportaży, stanowi na naszym rynku księgarskim cenną pozycję.

G. K.

*) Egon Erwin Kisch — „Meksyk“ Wyd. „Prasa Wojskowa“ Tłum. Józef Płoński, Warszawa 1950. Stron 288.

Nowy numer „Spraw Międzynarodowych“

Ukazał się nowy numer „Spraw Międzynarodowych“ (Nr 2 — 1950), w którym między innymi znajdujemy następujące artykuły:

Stanisława Skrzeszewskiego — W piątą rocznicę układów polsko-radzieckich, Henryka Różańskiego — Międzynarodowe stosunki gospodarcze nowego typu, Mariana Muszkata — Walka o pokój a walka o wyzwolenie narodowe, Ludwika Gronowskiego — Udział Polaków we Francuskim Ruchu Oporu.

Poza tym umieszczono w numerze artykuły o Nowej Czechosłowacji, o Francji, o Viet-Namie o Ameryce Łacińskiej, o Kanadzie i inne, pióra J. Winnickiego, A. Hirszowicza, J. Zborsztyna, B. Jawornickiego i innych.

W numerze znajdujemy również m. in. dokumenty w sprawie amerykańskiej agresji w Korei i w sprawie planu Schumana oraz recenzje z polskich i zagranicznych publikacji o tematyce międzynarodowej.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727. Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Druk W. Z. G. Oddz. 01, Warszawa, Tamka 3. B—129065